

BLUSZCZ

Spółecno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 9 LISTOPADA 1929 ROKU

NR. 45

TREŚĆ NUMERU: Odwrotna strona medalu czyli o pracy społecznej słów kilkoro — *Janina Strzelecka*. Rzeczpospolita dziecięca na Bielanych — *Stefanja Heymanowa*. Poezje: „Człowiek” — *Jan Szczawiej*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Orzeszkowa — twórczyni życia polskiego — *Stefanja Podhorska-Okotów*. U źródeł Montecatini — *Fr. Szyfmanówna*. Z sali odczytów — *S. P. O. Z teatrów* — *Herminja Naglerowa*. Walny zjazd pielęgniarek w Krakowie — *J. S.* Kobieta w świecie i w domu. Nowe i stare zasady domowe — *M. H. Szpyrkówna*. List bez adresu (dok.) — *Prof. Feliks Teodorowicz*. O darcu i czyszczeniu pierzy — *A. D.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Śmierć garsonkom! — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — (dok.) — *R. Hichens* i „Portret króla” — *Carry Brachvogel*. Dodatek „Kultura Ciała”. Arkusz wzorów.

ODWROTNĄ STRONĄ MEDALU CZYLI O PRACY SPOŁECZNEJ SŁÓW KILKORO

Ilekoć bywałam na zebraniach wielu bardzo stowarzyszeń społecznych, czy też powoływanych do zorganizowania takiej, lub innej akcji komitetów, zawsze i niezmiennie stale spotykam jedne i te same osoby. Przeglądałam listy wszelakich prezydów, czy zarządów, skład niezliczonych sekcji, oddziałów itd. i znowu zawsze jedne i te same nazwiska kobiet, pracujących ideowo — jak się to mówić utarło — dla przyspieszenia ery Królestwa Bożego na tym leż padole.

Chodziłoby mi o rozpatrzenie i wtórnych przyczyn poza temi najszlachetniejszymi (spłacenienie długu wobec społeczeństwa), dla których kobiety zaciągają się do szeregów społecznie.

Przyczyny te są tak różnorodne, że wyliczanie wszystkich zajęłoby doprawdy zbyt wiele miejsca; wystarczy zresztą wymienić najbardziej typowe, aby udowodnić, iż owa praca nie tylko że niezawsze bywa „ideową”, ale i ogromnie często koliduje z temi obowiązkami, których spełnienie należałoby postawić na pierwszym miejscu. Pragnę również poruszyć sprawę wyzyskiwania (przepraszam za mocne słowo) kobiet, z rzędu tych ofiarnych i godnych bojowniczek, o których udziale w pracy decyduje jedynie i wyłącznie wysokie poczucie obywatelskie i społeczne.

Przyczyny wtórne! Nasuwa się tu mimowoli filozoficzna refleksja, czy o wartości czynu, lub poczynania, decyduje rezultat, czy też pobudka? Czy, dajmy na to, bohaterstwo jest wynikiem napięcia najlepszych sił w człowieku, czy też dziełem przypadku, czasem — psychozy, lub szczęśliwego zbiegu okolicz-

ności (klasyczny przykład Zagłoby, zdobywającego sztandar). Ciągłe przecież szafuje się przesadnymi superlatywami w ocenianiu wartości i czynów ludzkich, a myślę, że powierzchowna nawet analiza doprowadziłaby nas do wniosku, iż z temi tam świetlanymi, czcigodnymi, niezastąpionymi etc. tak dobrze nie jest i że pewne zbilansowanie pro i contra tych doskonałości dałoby wiele do myślenia, szalę tych contra stanowczo przewyższając.

Wracając do tematu, do owych motywów angażowania się do roboty społecznej, zatrzymam się na tych, które wypływają: 1) z mody na owo społecznikowanie (moda panuje wszędzie); 2) z chęci wypłynięcia na widownię (wszystko jedno — w Stolicy, czy w Obrzydłównku); 3) z podniety — hm, jakby to powiedzieć — pewnej podniety, która zgęszcza wodnistą substancję dnia powszedniego.

Owe trzy kategorie zakwalifikowałabym, jako przyczyny wtórne późniejszego gatunku.

Wymieniona przeze mnie arcyprzyczyna, owa cudowna w ludzkim sercu utajona energia, mocą wyłączenia dobrej siły w czyn zamieniona — to rzadki dar. I dlatego poleca się przy sposobności pewną wstrzeźliwość w generalizowaniu oceny wartości, wnoszonych do pracy społecznej. Przecież ludzie (a więc i kobiety), pracujący społecznie, pracują, lub zasiadają, no, i przewodniczą. Bardzo powierzchowne — powiedziałabym: fikcyjne — zdemokratyzowanie społeczeństwa sprawia to, że częstokroć pracują tylko te nieutytułowane, szare jednostki i one dają inicjatywę, zaś laury zbierają wszelkie osobistości (tout

l'honneur reservé) z tytułami, czy z t. zw. stanowiskiem. Poza tem owa praca dzieli się na pracę i na zebrania. Uchwalone przez zebranie prace wypełniają nieliczne jednostki (właśnie wciąż te same), na zebrania chadzą ci, którzy lubią się pokazać, być wydrukowanymi na liście zaproszonych, co lubią zabierać głos, ci, dla których tego rodzaju udział w pracy jest odskocznią na szersze wody i t. d.

Oczywiście, owi pseudo-społecznicy upajają się swoim znaczeniem, chadzą w glori, z bardzo wysokich parnasów na przyziemne spoglądając rzeczy.

Obwieszczenie poniektórej pani: „mam dziś zebranie” — uchyla załatwienie wszelakich najbardziej naglających spraw. (Możnaby tu wymienić karygodne wprost zaniedbanie z kategorii grzechów przeciw domowi, dzieciom, a nawet i przeciw sobie samej, w sensie pozostawienia odlogiem pracy nad sobą i rozpraszania się, wymiany na drobną monetę dużych niekiedy wartości, marnowania zdolności, które, odpowiednio wyzyskane, tylekroć więcej dałyby społeczeństwu, aniżeli biegania po zebraniach i t. d.).

Przeglądam się od lat tym sprawom zbliżając, znam mnóstwo osób, które w tygodniu mają wszystkie prawie popołudnia zajęte; bywają dnie, w których muszą zadokumentować swą obecność na dwu, niekiedy na trzech zebraniach. Pracują we wszelkich opiekach nad matką, opiekach nad kobietą, w przeróżnych patronatach, czy towarzystwach, związkach, radach, ligach i t. d., opiekują się gorliwie dziećmi osieroconymi, zaniedbanymi, opuszczonymi — tylko dla swoich rodzonych dzieci chwili czasu nie mają. Podrzucają je, że tak powiem, szkole, na współpracę z którą nie mają czasu, bo są zaabsorbowane gdzieś indziej; po obiedzie podrzucają je służącej, czy bonie, których pracę umieją wyzyskiwać bezlitośnie; same zaś wygłaszają budujące a rzewne referaty o wychowaniu dzieci, o ochronie pracy kobiet, o organizacji gospodarstwa domowego etc.

Zastanawia mnie właśnie paradoksalność tego faktu, że osoby, miażdżąc wprost „uspołecznione” nazewnątr, chodzące megafony, głoszące lokciowe maksymy o obowiązkach — w stosunku do swych najbliższych i tego, co ich dotyczy, nie stosują pięknych zasad w najmniejszym stopniu. I znowu przeraża mnie tutaj ta atmosfera zakłamywania się, o którą potykamy się boleśnie w tyłu dziedzinach życia!

Na innem już miejscu wspominałam, że pojęcia: matka i wychowawczyni — są w olbrzymiej ilości wypadków bardzo nierównoznaczne, wspominałam o ekwiwalencie przeróżnych instytucyj wychowawczych na miejsce trzeszczącej w posadach rodziny; ale jeżeli kobieta inteligentna zajmuje się pracą społeczną, jeżeli zwłaszcza działa na polu pracy wokół tego wszystkiego, co dotyczy opieki nad dziećmi, czy młodzieżą w najszerszym tego słowa znaczeniu, a zaniedbuje własne dzieci, to doprawdy ten moment „społeczny” ginie dla mnie we mgle. Wtedy trzeba

otwarci powiedzieć: pracuję dla sportu, pracuję właśnie, aby uciec z domu, pracuję, bo to dla mnie pewien narkotyk; ale twierdzić, że to jest „społecznie”, to doprawdy wygląda niesmacznie, jeżeli nawet rezultaty tej pracy przedstawiają się pomyślnie. Ale... to bywa wyjątkowo. Owocnie naogół pracować można na jednym tylko odcinku, nie na kilku naraz, bo wtedy wszystko jest dorywcze, na olaboga zrobione, nie-dopatrzone, chaotyczne.

Przecież społecznie działają przeważnie te kobiety, które mają poza tem pracę zawodową i wtedy całymi dniami literalnie nie bywają w domu. Jak wówczas wygląda ta placówka pracy domowej, zbędne ilustrować.

Jak odbija się na dziecku ta atmosfera wiecznego pośpiechu, jak ono reaguje na tę ciągłą odpowiedź w ważnych dla siebie sprawach: „nie mam czasu!” jak się czuje, kiedy jest chore, a mamusia idzie na zebranie (wypadki na porządku dziennym) — nie mam potrzeby odpowiadać. Bardzo daleka jestem od negatywnego stosunku do pracy społecznej kobiet, ale sądzę, że pewna rewizja istniejącego stanu rzeczy nasuwa się z całą koniecznością.

O paniusiach, które, urodziwszy dzieci, uważają sprawę za skończoną, o nich nie mówię. Zamiast do kawiarni na ploteczki, five o' clocki, niechaj „zasiadają”: coś tam może w taką duszyczkę z porcelany wpadnie lepszego, niż jazgot saksofonu; ale chodzi mi tutaj o te kobiety, które podejmują się niezliczonych obowiązków, nie zastanawiając się zupełnie, że ich spełnienie dokładne przechodzi doprawdy siły, nie zastanawiając się i nad tem, że doniosłość nawet owych obowiązków koliduje jakże często z interesami tych najbliższych.

Mówię to i pod adresem tych najczcigodniejszych społeczniczek. Tych, które odnoszą się do swej działalności z ogromną powagą i rozumieją znaczenie słowa „odpowiedzialność”. Te właśnie dają się wyzyskiwać, bo są niezastąpione, te nie potrafią odmawiać, choć często ta praca społeczna, co powinna być radośną emanacją najlepszych pierwiastków — staje się czemś nieznośnym, ciężarem nie do zniesienia, bo męczy i wyczerpuje nieskończenie.

I jeszcze jedno: dlaczego przywykliśmy tylko niehonorowane zajęcie nazywać pracą ideową? Myślę, że przedewszystkiem ideowo pracuje taki człowiek, który pierwiastek ideowości wnosi do każdej pracy, a więc i zarobkowej, i jestem pewna, że gdyby w drodze pracy u podstaw — a więc w wychowywaniu — krzewić tę zasadę, że ideową musi być każda praca, nawet z pozoru najmizerniejsza (nie mówię, oczywiście, o tych rodzajach pracy, które bywają przekleństwem, które wynikają ze straszliwych niesprawiedliwości społecznych; nie mówię także o pracy, jako o „procederze”) — to z pewnością zredukowałyby się owo społecznikowanie.

W chwili obecnej, naturalnie, zawrotne tempo

życia powoduje zawrotne tempo pracy, ale i tutaj możnaby przeprowadzić pewne reformy. Bardzo mało naprz. widuje się młodych pań w naszej armji... zbawienia, tych, które nie mają ani domu, ani rodziny, ani często nie zarobkują. Do nich należałoby trafić, przełamać ich bierność, rozpocząć kampanję przeciwko bardzo jednostronnemu zainteresowaniu tylko w dziedzinie sportu naprz. (o panienkach z „Dancingu“ nie mówię).

Należałoby również uczyć ludzi prowadzić zebrania. Doprawdy, to, co walczy się niekiedy przez trzy godziny, dałoby się załatwić w ciągu jednej, ale dzięki niewyrobieniu, czy anielskiej tolerancji pani przewodniczącej, lub pana przewodniczącego, nie schodzi z porządku, nuży, denerwuje, złości, wkońcu zniechęca.

Ach, i jeszcze jedno: może bliscy już jesteśmy momentu, kiedy zatrważająca epidemia obchodów, świąt, uroczystości, akademij i t. d. zacznie wygasać,

może zmieniać się formy składania hołdu wszelkiego rodzaju żywym, tudzież umarłym; zmniejszy się wtedy ilość wciąż nanowo zawiązywanych komitetów, odciażając z pracy na rzecz stokroć pilniejszych spraw, które niesie dzień dzisiejszy. Myślę, że skuteczniejszym pokrzepieniem dla serc i ducha jest to — co powstaje, nie wieczna kontemplacja tego, co było. Wyraziłabym również pobożne życzenie pod adresem wszelakich prezydów, aby oszczędzały siły tych zwłaszcza osób, o których wiedzą (a wiedzą napewno — każda, największa stolica jest czasem partykularzem), że wciąganie ich do jarzma — to niekiedy bardzo wątpliwy sposób umiejętnego i mądrego wyzyskania ludzkich zdolności i społecznych instynktów.

Bo i tutaj, jak wszędzie, potrzebna jest pedagogja i doniosła sztuka oszczędzania pracy, jej kultura i umiejętność *pozostawienia* człowieka na najwłaściwszem dla niego miejscu.

Janina Strzelecka.

STEFANJA HEYMANOWA

RZECZPOSPOLITA DZIECIĘCA NA BIELANACH

Każda instytucja, której celem jest ulżenie czyjejś niedoli, zasługuje bezwzględnie na poparcie. Ale różnych bolączek społecznych jest tak wiele, że często bywa trudno zdecydować, co jest najpilniejsze, gdzie należy przedewszystkiem nieść pomoc materialną,

czy moralną; czy lepiej tworzyć nowe placówki, czy ulepszać istniejące, czemu zapobiegać, co ratować?...

Jednakże w każdym dziale pracy społecznej są instytucje średnie, dobre i wzorowe, prowadzone mniej lub więcej ideowo, dające rezultaty gorsze lub



„Nasz Dom“ na Bielana.

lepsze. Rzeczą społeczeństwa jest czuwanie nad tem, ażeby przede wszystkim dać możność rozwoju właśnie tym najlepszym instytucjom. Do ich rzędu w dziale opieki nad dzieckiem zaliczyć należy „Nasz Dom“.

„Nasz Dom“ powinien znaleźć swego monografa, tak jak znalazła go „Górka“ dr. Starkiewicza*). „Nasz Dom“ również powstał „z niczego“, bez pieniędzy, bez lokalu, bez rozgłosu, bez t. zw. poparcia — powstał z wytężonej woli i chęci kilku osób, które zapragnęły stworzyć wzorową instytucję dla sierot robotniczych. Osoby te miały w ręku tylko jeden wielki atut: współpracę dr. Janusza Korczaka.

Kto zna Korczaka choćby tylko z jego prac literackich, domyśli się, że instytucja, pozostająca pod jego kierunkiem, nie ma nic wspólnego ze stereotypowym zakładem, w którym dziecko znajduje „dach nad głową, posiłek i opiekę“, gdzie jest poprostu skoszarowane pod sztandarem dobroczynności.

„Nasz Dom“ od pierwszej chwili istnienia stał się analityczną pracownią duszy dziecięcej, — laboratorium, w którym mozolnie wypracowywano (i czyni się to ciągle nadal) najlepsze, najbardziej celowe metody wychowawcze, gdzie wychowawcy, pracując nad dziećmi, nie zapominają o ciągłym doskonaleniu siebie. Dla dzieci „Nasz Dom“ jest warsztatem, w którym uczą się wiedzy o życiu, — szkołą, z której wyjdą dobrze przygotowani do współżycia ze społeczeństwem, z narodem, ze światem **).

Dawniej, kiedy instytucja gnieździła się w nędznej oficynie zwykłego małomiejskiego domu w Pruszkowie, gdzie nie było nawet przyzwoitego podwórza, nie mówiąc o jakimś odpowiedniejszym terenie zabaw, — gdzie często walczyło się z głodem i chłodem, — dzieci uważały zakład ten za „swój dom“ niemniej, niż dzisiaj, gdy nowa siedziba na Bielanych, wobec pruszkowskiej nędzy, musi im się wydawać pałacem z bajki. Bo i tam, również jak tu, czuły, że są czemś



„Nasz Dom“. — Przedszkole.

więcej, niż dziećmi „z przytułku“, przedmiotem „łitości dobrych ludzi“.

Wiedzą i czują, że to jest ich prawdziwy dom, w którym znajdują zawsze zrozumienie i sprawiedliwość dla swych cnót i grzechów, że tu uważają ich za małych ludzi, na których nakłada się pewne obowiązki, ale którym nie odmawia się praw do radości, do swobody, do szczęścia, do dzieciństwa. Wystarczy raz zobaczyć dr. Korczaka w otoczeniu wychowanków „Naszego Domu“, ażeby zrozumieć, że miłość, którą im oddał bez zastrzeżeń, nie jest uczuciem straconem. Z taką ufnością garną się dzieci zwykle tylko do rodzzonego i to najlepszego ojca.

Cieszyć się należy, że pani Marszałkowa Piłsudska, której działalność społeczna jest szeroko znana, zwróciła uwagę na „Nasz Dom“. Dzięki jej zabiegom, stanął dziś na Bielanych wspaniały gmach, odpowiadający wszelkim najnowszym wymaganiom, obliczony na 150 dzieci. Jednakże budowa i związane z nią koszty pochłonęły takie sumy, że dziś „Nasz Dom“ nie jest w stanie przyjąć więcej, niż 80 dzieci. W wewnętrznym urządzeniu są jeszcze poważne braki (ławki, stoły, szafy, pomoce szkolne), na które, niestety, niema funduszy.

Chcąc uzyskać bardziej stałe formy pomocy finansowej, Zarząd N. D. wprowadził system stypendjów, polegający na tem, ażeby zjednywać instytucje i osoby, deklarujące stałą wpłatę miesięczną w wysokości 60 zł. na rzecz pokrycia części kosztów utrzymania jednego dziecka. Propagowanie tego systemu ofiarności naprz. w szkołach, zwłaszcza takich, do których uczęszczają dzieci zamożniejsze, mogłoby przynieść dużą korzyść obu stronom: instytucji oraz młodzieży, która, opodatkowując się dobrowolnie na rzecz biedniejszych od siebie, widziałaby jednocześnie rezultat swej ofiarności (wychowanek, korzystający ze stypendjum, mógłby być jednocześnie czemś w rodzaju chrzestnego syna — względnie chrzestnej



„Nasz Dom“. — Jadalnia.

córki — szkoły lub klasy, której młodociany przedstawiciel pozostawałby w bezpośrednim kontakcie z jej pupilem).

Trudności przeflancowania dzieci ze szkół pruskich do niezorganizowanej jeszcze dzielnicy Wielkiej Warszawy, gdzie szkoła powszechna funkcjonuje słabo, zostały przewyciężone w ten sposób, że wprowadzono na miejscu nauczanie systemem Daltona. „Nasz Dom” zamierza również stworzyć własne przedszkole. Pragnąc zachęcić do pracy wychowawczej młodzież, czującą powołanie w tym kierunku, zarząd „Naszego Domu” zorganizował u siebie bursę dla

wychowawców i wychowawczyń; chłopcy i dziewczęta, za 3 godz. dziennie praktyki wychowawczej, otrzymują całkowite utrzymanie. Dotychczas zgłasza się przeważnie młodzież żeńska. A szkoda! Gdybyśmy mieli więcej wychowawców, ceniących tak wysoko swój zawód, jak to się dzieje w „Naszym Domu”, kto wie? — może nie mielibyśmy... Studzieńca.

*) Zygmunt Kisielewski: „Czyn, nie łza”... (Rzecz o Górcie, dziecięcej kolonii leczniczej pod Buskiem). Nakładem Polsk. Kom. Międzyn. Kongresu Opieki nad Dzieckiem. Warszawa 1928.

**) Szczegóły znajdą czytelniczki w broszurze Marji Falskiej.



JAN SZCZAWIEJ

CZŁOWIEK

Czemuś wieczór czerwony zamilkł.

Czemuś barwy poblakły tram.

Stara mierzba sinemi listkami

Zapatrzyła się czemuś w stam.

Przyszła deszczów jesiennych pora.

Niebo ciężkie ołowiem chmur.

Komuś czoło czas smutkiem zorał,

Wskazał w dali gasnący bór.

— Trzeba pójść tam, jeżeli chcesz wiedzieć.

Co to życie i co to świat.

Patrz, poślódką, dzmoniącą miedzią

Czyjś listopad na ziemię spadł.

Każdy liść — to o życiu karta —

Będiesz świat z niej wyczytać mógł:

Będiesz wiedział, czy żyć jest warto,

Czy przydrożny krmia zbryzgać głóg.



HERMINJA NAGLEROWA

27)

ZAWALIDROGA

(powieść)

— Pójdę stąd — westchnęła Hala — głowa rozboli mnie jeszcze więcej z tego hałasu.

Franek, rozłożywszy się na szezlongu, czyhał teraz na wzrok Klimy.

— Klima, dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Obraziłaś się, czy co?

Usta Klimy drgnęły, jakgdyby kształtowały jakieś ciekawe zdanie, ale naostatku klasnęło tylko tępe: „nie“!

— Przychodzisz tu teraz codziennie; wcale nie wiedziałem, że z panną Halą taka mocna przyjaźń.

— Teraz wakacje i mam więcej czasu.

Nareszcie wykrztusiła pięć słów, ale nie spojrzała przytem na Franka. Uważne oczy zajęte były ściąganiem, a brwi odbiegły wysoko, niby zdziwione. Liljowy cień na policzkach bronił się jeszcze chłodem.

— Przestań terkotać, Klima, przeczytam ci zato wiersz — przymilał się.

Klima palcem dotknęła leciutko koła i zatrzymała jego bieg.

— Posłuchasz?

— Nie, teraz nie mogę, nie jestem usposobiona. Ale porozmawiajmy, lepiej właśnie porozmawiać.

Mówiła, zwrócona twarzą do maszyny i zawsze jakby jeszcze zagniewana. Nie obmyśliła przedtem tej rozmowy i dlatego ciosała chropawe słowa, które, jak małe drzazgi, wrzynały się ostrym bólem w mózg Franka. I nie trzeba już było o nic pytać, bo wszystko stało się zrozumiałe, nawet dziwaczne wycinanki z płótna miały już swój rozumny rysunek.

— Dla niej to nieszczęście, poprostu katastrofa — zakończyła Klima, niby żałobnym akordem.

Ściany pokoju zwinęły się, jak arkusze, okna pomknęły szybami daleko, aż do mokrych sztachet, aż do szarego nieba. Krew, jak lepka, gorąca maź spłynęła od skroni ku policzkom, ściekla po karku, zmąciła się w sercu. Z zamętu wyszła ohyda — oślizgły jaszczur.

— Wiem, że nic tu nie możesz poradzić, ale może trzeba, żebyś wiedział. Pytałeś mnie kilka razy o te sprawy, a zresztą, nie jesteś już dzieckiem.

I coś jeszcze wykladała długo i żałośnie, jakieś racje stawiała sztywno a wywrotnie, jak kręgle. Powtarzała: Biedna dziewczyna! — I refren bełtał się głucho, jak w kałuży.

— Nie szyjesz?

— Rozmawialiśmy trochę.

Hala weszła w chybottliwą przestrzeń jawna i taka sama oczom, jak przedtem. Należało się tylko wstydzic własnego istnienia i własnych oczu, które

patrzyły przytomnie i badawczo na splakaną twarz dziewczyny.

— Wypadnie dwanaście koszulek — wyjaśniała Klima.

— Widzisz, mówiłam ci. I nawet dość duże.

— Krajałam podług formy.

Powieki Hali pochylały się nad płótnem i Franek zobaczył, jak szybkie kulki leż zsuwały się po sztywnych rzesach. I jeszcze mocniej, jeszcze boleśniej zawstydził się wobec tych świeżych leż. Wstydził się za siebie, za Halę, za Klimę. Nie mógł się wymotać z tego uczucia i miał wrażenie, że leży tak skępowany powróżkami, a ktoś, bijąc po twarzy, ścisł go za gardło.

XXVII.

Powiedziano Frankowi, że ojciec już wrócił i jest w kancelarji. Stał długo podedrzwiami, jak tchórzliwy petent, a serce wybijało sekundy, zamierając z niemocy. Więc co? Więc jak?

Najmilszy uśmiech ojca zatrzymał i odrazu zniweczył wszystkie słowa, poprostu zdmuchnął je.

— U Mielewskiego gorzej, niż u nas. Żyto leży, a żniwiarka, stary klekot, nie da rady. Żną sierpami.

Na biurku leżały ziarna żyta, jak małe zielonkawce robaczki.

— Widzisz, jakie u nich marne żyto? Brzuski suche, końce powiędłe. Owszem, jara pszenica zapowiada się tam nieźle. I buraki — niby cała ich nadzieja. Nie popisał się pan prezes, mimo świetnych artykułów w „Przeglądzie Rolniczym“.

Ojciec pocieszył się więc cudzą klęską i, przesiewając ziarna przez palce, jeszcze opowiadał o tem, co się omawiało na zebraniu.

— Ah, prawda, był pan Edward i pytał, dlaczego ich nie odwiedzasz. — Złośliwy uśmieszek spłynął po wargach: — Nawet nie wiedziałem, że bywałeś tam tak częstym gościem.

Franek sponsował, a ojciec jakby przytrzymał wzrokiem zawstydzenie syna.

— Był także Walewicz z Mianówki i kazał ci powiedzieć, że twój przyjaciel wyjeżdża za parę dni do Warszawy i że macie się spotkać w niedzielę w Jazłowiecu.

Ojciec mówił dobrotliwie i tłumił uśmieszki, które piekły, jak pokrzywa. Oczy Franka przeszły ponad głowę ojca i zaczęły o ścianę, do której przyklepił się konik polny, niby bryzg błota. Więc co? Więc jak? — biło serce, a ręka sięgnęła po pejcę ojca, leżącą na biurku. Trzasnął pejcą po butach, ot tak, ze zwyczajem.

— A słońce, psia krew, narobi szkody!

— O tak — zgodził się Franek — zboże w kopcach porośnie.

Dopiero, gdy był za drzwiami, ocknęła się przyczajona ochota. Brutalność pęczniała, jak rozczyn i nie było już dla niej dość miejsca w sprzężeniu mięśni, w pięści, ściskającej plecionkę pejczy. Buchnęło ze wszystkich porów skóry: bić — bić, zbić kogoś! — Walił w żerdzie płotu, w pnie drzew, po liściach tytoniu, ścinał główki goździkom.

Pogłos stajni pociągnął Franka i przez drogę, rozchlapując z zaciekłością błoto, szedł ostro, jak w marszu. W mroku waliły kopyta, jak młoty, ogony miotły się po zadach końskich, nerwowe prykanie i pracowite żucie szło od żłobu do żłobu. W małych okienkach, już niemal pod skrzyżowaniem belek, wycinał się szary blask dnia.

Jacyś parobcy klócili się ze sobą, wymawiając słowa prędkie i niezrozumiałe. Przyjście Franka nie przerwało bulgotu złości i już nawet brali się do bicia. Wszystko jedno, o co im szło, ale kotłowisko bójkki działało podniecająco. Ogier w przegródce zarżał cienko, odpowiedziały mu klacze cicho i delikatnie, jak turkawki. Stary fernal wyszedł z mroku i krzyknął na bijących się. Odrazu oderwali się od siebie rozczochranymi głowami i uciszyło się tak, że nawet słyszeć było ćwierkanie wróbli, latających nad żłobami.

Franek zaszedł długim kurytarzem stajni do klatek z żrebackami. Było tu jaśniej i weselej. Żrebce, splecione głowami, tłumili się, zbite w gromadę. Zadługie jeszcze uszy strzygły niezgrabnie, a oczy błyszczały, jak duże agaty. Miękkie, suche pyski wysuwały się do Franka, nozdrza węszyły, ale Franek nie miał dziś dla nich ani cukru, ani chleba, więc chwytaly za rękaw, za guziki płaszcza, albo odchodziły w głąb klatek, obrażone.

Franek usiadł na jakiejś skrzyni. Nie było tu nikogo ze służby, w powietrzu trwał jeszcze kurz po zmiataniu, a na toku rysował się kierunek miotły. Można tu było myśleć o tem, co wydawało się nie do pomyślenia, ale jedno było już pewne i postanowione: wyjechać! Wyjechać potajemnie, jak w ucieczce, zostawić te wszystkie, ohydą ociekające sprawy. I tak właśnie bez słowa napiętnować ojca. Tylko, że do wykonania postanowienia potrzebne były — pieniądze! Matka dała mu niewiele, a na powrotną drogę miał dostać od ojca. Nieznana jeszcze dotąd troska o pieniądze gnębiła bezradnością. Pomysły niecierpliwiły i, do niczego niezdatne, napępniały rozpacz. Może pożyczyć u Klimy? Ale musiałby jej powiedzieć, że wyjeżdża i napewno

odradziłaby mu: — Nie trzeba tak desperować! — Nie, nie miał siły rozmawiać z Klimą i wcale nie chciał, aby ktokolwiek dotykał tej desperacji. I właśnie dlatego, jak więzień, roił uparcie o ucieczce.

Żrebaki ploszyły się i grubemi brzuchami napierały o listwy ogrodzenia. Franek trzasnął pejczą: — No, spokój tam! — Piżmowy zapach końskiego potu gęstniał, a denerwujący kwik żrebacków rozszarpywał wątek myśli. Przyplątały się jakieś nie-realne już projekty gospodarskie i zajęły sobą uwagę. Że żniwiarka poszła do naprawy, że pewnie kwitną kartofle, bo tyle deszczu. I że znowu będzie mała wypłata, bo prawie cały tydzień nie było roboty w polu. Nienaumyslnie przypominał się brzękliwy dźwięk niklu i lepkość banknotów; nawet sumę, która została w kasie, pamiętał dobrze: tysiąc dwieście pięćdziesiąt osiem złotych i trzydzieści pięć groszy. I oto właśnie były pieniądze, ale niewłaśne, nienaruszalne, pod ścisłą kontrolą ojca. Tak to niby lekko, lekko zsuwały się z palców ojca, ale dobrze je miał na oku!

— Panicz tu przy żrebackach! — zdziwił się słodko-fałszywie ekonom. — Nudno na wsi, kiedy deszcz.

Usiadł na skrzyni koło Franka i parował kurtką, nasiąkniętą krowim gnojem.

— Tyle dobrze, że skończyło się stertę. Byłem w polu i wiatr trochę potargał. Zato buraki fajne i kartofle rosną, jak na drożdżach.

Franek pomyślał: — może on pożyczy? — ale wstydził się prosić ekonoma. I tak węszy i plotkuje, i tak już rozzuchwala się i jest zapanbrat.

— Jaki to, proszę panicza, ten Iwaś ogrodnikowej? Powiadają, że za bardzo uczony. Taj i nie dziwić się, że głowę ma do książek, bo pewnie ten rozum nie po ogrodniku.

Franek powiedział porywczo:

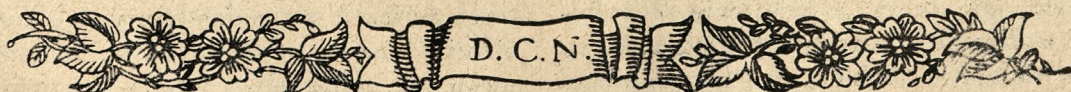
— Czy to zaraz musi być po kimś? Zdolny, dużo czyta, więc sam doszedł do tej mądrości.

— Rozumie się, i chłopskie synki bywają mądre. Ale o tym Iwasiu różnie gadają.

— Nic mnie to nie obchodzi — krzyknął Franek — nie!

Wstał ze skrzyni i skierował się ku wyjściu. Szedł ciężko, niezgrabnie, jakby spętany wzrokiem ekonoma. Tak, ten wymyśliłby tu jeszcze coś lepszego! Tylko go dobrze słuchać, jak mu śmierzzące słowa idą z ust!

Pod wieczór deszcz siał zrzadka po kałużach. Kwaśna woń dymu pełzała nisko, wrząc dalszą słotę. W chmurze zakwitło na chwilę słońce, nieczem purpurowa astra, a skośne, rude światło pocięło powietrze w miedziane sztaby.



STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

ORZESZKOWA — TWÓRCZYNI ŻYCIA POLSKIEGO

Odsłonięcie pomnika Elizy Orzeszkowej w Grodnie przypominało ogółowi polskiemu o istnieniu jej książek. O taniem, stereotypowym wydaniu zbiorów jej pism, które obok Trylogii Sienkiewicza i dzieł Prusa zajmowało honorowe miejsce w bibliotece każdego niemal domu polskiego przed wojną — o tych zrudziałych, zdekompletowanych, zaczytanych ze szczerem, brunatnych tomikach poszczególnych jej powieści, o które trudno się dopytać w wypożyczalniach książek, gdzie głód nowości na najdalej pólki spycha wyszłą z obiegu zasługę.

Kto dziś czyta Orzeszkową? Kto ma czas na przewertowanie tego archiwum szlachetnego piękna, które tak skwapliwie uczyniliśmy muzealnym? Czyje płuca są o tyle wolne od nalotów fabrycznej literatury, od osadów startego na miazgę w młynie rzekomej autentyczności człowieka, żeby móc bez zachłystnięcia się oddychać czystym powietrzem „Nad Niemnem”? Czyje stopy, zerwane rekordami szybkości, mają wolę i śmiałość przechadzać się pośród gwiazd, jak to swobodnie czyniła autorka dwugłosu „Ad astra”?

Jesteśmy ludźmi tej samej, co ona, rasy, ale innej atmosfery; oddech nasz jest mniej głęboki, rytm serca bardziej przyspieszony; wzmożona praca nerwów wymaga silnych podniet, choćby niemi miały być trucizny; cały szemat naszego życia jest obliczony na ruch, nie na trwanie — wiele z tych płaszczyzn ideowych, które jej służyły za odskocznię, straciły swą elastyczność. To, co w jej epoce było śmiałym rzutem w przyszłość, dla nas może być niejednokrotnie skokiem w próżnię.

Dwadzieścia lat mija niezadługo, od śmierci Orzeszkowej, czterdzieści lat dzieli nas od momentu najwyższego napięcia jej twórczości, sławy i wpływu. Czterdzieści lat — to dwa pokolenia, dodajmy: dwa pokolenia, które przeżyły wielką wojnę. Każda wojna rodzi przedwczesną dojrzałość. Orzeszkowa miała też swoją „wielką wojnę”: powstanie 63 roku.

Nie wolno nam mierzyć doniosłości tej katastrofy skalą naszych dzisiejszych odczuwań. Trzeba umieć wcisnąć się w skorupkę owych czasów, trzeba wejść w serce tamtych ludzi. Ich oddech był głębszy, tętno powolniejsze. Ich nerwy były nastawione nie na pośpiech, ale na przetrwanie. Nie szybkość, ale wytrzymałość stanowiła o rekordzie. Echa powstaniowe wlokły się, jak dymy, z pokolenia w pokolenie. Czas był wobec nich bezsilny, pogłębiał tylko ich rezonans, dowodem — „Echa leśne” Żeromskiego.

A jakimi byli ci ludzie popowstaniowi, taką musiała być ich literatura. Obliczona nie na doraźny efekt, ale na powolne przesiąkanie. Nie na jednorazowe spożycie, ale na zapas. I stąd płynące, dziś dla nas już prawie nie do pojęcia, posunięte aż do granic samozaparcia się siebie — poczucie odpowiedzialności wobec czytelnika. Tej odpowiedzialności, która kładła się napoprzek popędem twórczym i aspiracjom artystycznym, każąc im przedewszystkiem służyć, traktując je jedynie, jako środek osiągnięcia pewnego celu.

Pojęcie służby, karności społecznej, krępującej mocniej, niż karność wojskowa, bo nie narzuconej, ale dobrowolnej i świadomej — zaciężyło na całej twórczości Orzeszkowej. Ta kobieta o niezwykłym talencie, o ogromnych zasobach wyobraźni i uczucia, o nadludzkich wprost możliwościach pracy, a przytem artystka pierwszorzędna, rozmiłowana w słowie aż do religijnego niemal kultu, z pełną świadomością uchyliła głowy pod jarzmo apostołstwa.

Bo apostołstwem było to wydeptywanie zarosłych ścieżyn i miedz granicznych naszego życia, nie traktów szerokich i utartych, ale właśnie tych błędnych ścieżek, któremi drepce pieszy, szary tłum, biedota, wydziedziczeni. Wszystko jedno, czy to będzie kobieta z t. zw. towarzystwa, chodackowy szlachcic, chłop, czy żyd. Ci, którzy w ten czy inny sposób są niejako „ludźmi bez praw”, ci właśnie osiągać u niej pełnię literackiego obywatelstwa. I dzieje się to nie na mocy demagogicznej ideologii, ale na mocy wrodzonej skłonności serca i dogmatycznego echa klęski powstaniowej, która w zwyciężonym i skrzywdzonym kazała widzieć nietylko brata, ale i bohatera.

Tą drogą dokonywa się idealizacja typu kobiety, typu szaraczkowego szlachcica, typu chłopca, typu żyda. Idealizacja instynktowna, szczerza, pozbawiona tego snobizmu społecznikostwa i tego demagogicznego patosu, jaki nas razi niekiedy nawet u Konopnickiej. Zdrowy instynkt społeczny Orzeszkowej, jej niezaprzeczalna życiowość zdumiewa nas dziś jeszcze po latach. Cała jej twórczość organicznie związana jest z życiem polskim, każdy jej utwór ma powagę faktu, każda jej powieść — to dokument, czasem manifest, dekret lub wyrok.

Takim dokumentem, świadczącym o pierwszych próbach usamodzielnienia się kobiety, była jej „Marta”; takim rewolucyjnym manifestem, proklamującym małżeństwo panny ze dworu z człowie-

kiem z ludu, było „Nad Niemnem”; takim dekretem, skazującym na niesławę karjerowiczów, dla złotego runa porzucających kraj rodzinny, byli „Argonaucci”. Orzeszkowa była urodzoną reformatorką obyczajów i praw. Nie zadowalały jej istniejące formy życia. Gdyby się urodziła w XVI w., jako mężczyzna, byłaby drugim Modrzewskim, kto wie, czy nie radykalniejszym. Ale ponieważ była kobietą, obywatelką kraju podbitego, a zatem istotą bez praw, obrała jedyną dostępną dla niej, a jak się okazało, i najskuteczniejszą drogę oddziaływania na opinię zapomocą powieści.

I tu się okazała mistrzynią. Sprawdziło się na niej paradoksalne twierdzenie Wilde’a, że życie w równej mierze naśladuje sztukę, jak sztuka życie. Epidemia tak zwanych „mezaljansów” wśród panien ze sfery ziemiańskiej, przypisywana „zgubnym” wpływom powieści „Nad Niemnem”, mogła iść w zawody ze słynną epidemią romantycznych samobójstw, wywołanych swego czasu przez lekturę „Cierpień młodego Wertera” — książki, przez samego Mickiewicza nazwanej „zbójceją”.

Ale mniejsza o mezaljanse. Nie było, zaiste, dziedziny życia polskiego, nie było najmniejszej zmarszczki na jego powierzchni, nie było zagadnienia, którego by Orzeszkowa nie przetrwała, nie przemyślała, nie zważyła na szalach sumienia, nie rozstrzygnęła w sposób stanowczy i nieodwołalny. Rezultat podawano czytelnikowi w formie artystycznej przejrzystej, nie wymagającej specjalnego wysiłku, czy przygotowania.

I tak ta cicha, skromna kobieta ze swego dworku w Grodnie dyktowała program obowiązków społecznych i narodowych, zakreślała pion ideowy dla całego kraju, prostowała zgięty w mozolnej, często beznadziejnej walce, kręgosłup Polski.

Minęło kilka dziesiątków lat, nad światem przeszedł huragan wielkiej wojny, zmieniła się mapa Europy — a ileż z tych spraw, przez nią teoretycznie rozstrzygniętych, czeka na swoje realne, życiowe rozwiązanie! Sprawa kobieca, lud, emigracja inteli-

gencji, kwestja żydowska, mniejszości narodowe. Na wszystko ta kobieta znajdowała radę, nie w paragrafach kodeksów i ustaw, ale w niewyczerpanym skarbcu intuicyjnej mądrości serca.

Duchowe bogactwo Orzeszkowej było tak wielkie, że zmuszało ją do nadmiernej nieraz hojności. W instynkcie obdarzania ujawniała się jej niezaprzeczalna kobiecość. Wyposażała swych bohaterów i bohaterki najpiękniejszym wianem, na jakie ją było stać: opromieniała ich czoła niezatartym stygmatem człowieczeństwa. Ludzkie były ich cnoty, ludzkie porywy i ludzkie upadki. I dla niej, dla Orzeszkowej, nie byli wyimaginowanymi postaciami z romansu: byli jej ludźmi, byli rzeszą istot, spokrewnionych z nią tajemnymi węzłami duchowego porozumienia.

To pokrewieństwo z wyboru zdecydowało o rasie ludzi Orzeszkowej. Powstała ona nie drogą przeszczepiania rzeczywistości na płonkę artyzmu, ale drogą ścisłej selekcji materiału ludzkiego, który miał się stać podłożem antropologicznej rozbudowy Polski. Bowiem na całym, jakże rozległym terenie twórczości Orzeszkowej, między zazębiającymi się ogniwami konfliktów psychologicznych, pod splataną siecią fabuły toczy się nurt podziemny, rozgrywa się fragment nieśmiertelnej walki o nowego człowieka. Tego człowieka, którego chciał wychować Sokrates, uświęcić Dante, któremu chciał dać skrzydła Leonardo da Vinci, wolność myśli Kant, którego chciał przeanielić Słowacki, a uczynić nadczłowiekiem Nietzsche.

Orzeszkowa była skromniejszą od swych wielkich poprzedników. Jej nowy człowiek miał być radosnym dzieckiem słońca, wolnym oraczem pól nadniemeńskich, czerpiącym żywą wodę szczęścia ze studni prawdy i prostoty. Ten pozornie szczupły zakres miał nad poprzedniami tę wyższość, że był bardziej życiowy, konkretny, osiągalny w granicach rzeczywistości, przeznaczony dla mas, nie dla wyjątków. A jednak i od niego jesteśmy jeszcze tak bardzo dalecy!

U ŹRÓDEŁ MONTECATINI

Wzdłuż malowniczych pagórków tokańskich dojeżdżamy w godzinę z Florencji do Montecatini, italskiego Karlsbadu!

Ta ślicznie położona, zapachem pinii i barwne go kwiecia nasycona miejscowość rozciąga się u stóp majestatycznego Montecatini-Castello, starej, średniowiecznej twierdzy obronnej, skąd roztacza się szeroki widok na pełne uroku pagórki, strojne w zie-

leń winnej latorośli, w srebro soczystej oliwki, aż hen, daleko ku Apeninom.

Bezpośrednio u stóp wyniosłego zamczyska rozsiadły się wspaniałe „stabilimenta” montecatinińskie: „Tettuccio”, „Regina” i „Torretta” — cieszące się sławą światową ożywcze źródła lecznicze, położone wśród ogrodów i parków, bogatych w królewskie pinje, rozłożyste platany, wysmukłe cyprysy, wonne



Montecatini. Zakład kąpielowy.

rododendrony, magnolie i hortensje. A nie brak też flory południowej, jak różnorakie gatunki kaktusów, palm i bambusów.

Cała miejscowość, skąpana w jasnym słońcu italskim, na tle radosnego, zawsze mile uśmiechniętego słońca, odurza silnym zapachem różnobarwnych kwiatów i delikatnem kwieciem oleandrów, napawając duszę radością i beztróską.

Wody montecatinijskie, słynne obecnie już daleko poza Europą, znane są od wieku czternastego; właściwego znaczenia nabrały jednak dopiero w wieku osiemnastym, kiedy to wielki książę tokański — Leopold I — pogłębił źródła, rozbudował i ulepszył łazienki, zwane odtąd leopoldyńskimi, założył rozwijający się coraz piękniej park i wkońcu zbudował ogromny hotel „Locanda Maggiore”, który jednak z biegiem lat, pomimo szacunku, jakiego jeszcze ciągle zażywa, musiał ustąpić pierwszeństwa wykwiśnemu, nawskroś nowoczesnemu, pięknie i wygodnie urządzonemu hotelowi „La Pace”, gdzie zaznaje się istotnie ciszy i spokoju.

Włoch uważa za swój święty obowiązek przyjeżdżać rok rocznie do Montecatini, by odpokutować za wszystkie, przez cały rok niehigienicznego życia wchłonięte, „fiasca” wina i nadmierne ilości potraw i poddać swój organizm radykalnemu leczeniu i odświeżeniu. Źródła w Montecatini posiadają bowiem wprost czarodziejskie właściwości odradzające i odmładzające. Niczem Steinach czy Woronow! Nie-

rzadko też tu się zdarza, iż spotykamy matkę z córką i ani rusz nie możemy odróżnić, która matka, a która córka! Wówczas to wylaniają się dopiero długie, ożywione dyskusje, a nawet zakłady na promenadzie, u źródeł, na tenisie, wreszcie, i to najczęściej, w salonie po obiedzie, lub też w ogrodzie przy filiżance wybornego „Espresso”!

Sprytni amerykańscy i amerykańskie, dbający tak bardzo o linję i „młodość”, zjeżdżają coraz tłumniej do Montecatini, zapelniając najwykwintniejsze hotele, restauracje, kawiarnie i bary.

Stosunkowo sporo Polaków bywa każdego roku w tem miłym uzdrowisku tokańskim, sprzeniewierzając się rodzimej „Naftusi” w Truskawcu, gdzie znowu, jakby z tytułu rewanżu, leczył się ubiegłego roku minister włoski w Warszawie — Giovanni Cesare Maioni — który wyniósł z naszego „Montecatini” jak najlepsze wrażenie.

Polacy znajdują w Montecatini doskonałą i serdeczną opiekę w osobie doktora Landaua, który wspomaga całem sercem swych pacjentów w ich cierpieniach fizycznych i moralnych.

Zabiegi lecznicze w Montecatini kończą się zazwyczaj już przed południem, tak, że przeważnie całe popołudnie można poświęcić na zwiedzanie malowniczej i bogatej w dzieła sztuki okolicy, wymknąwszy się do pobliskiej Pistoji i Prato, lub do odleglejszej nieco Florencji. Spragnieni pieśczęt morza, osiągają w niedługim czasie piękną plażę w Via-

reggio, inni wreszcie, pragnący zrzucić z siebie niepotrzebny ciężar ciała, mkną (na poty) do sławnej groty Giusti w Monsumano, nazwanej przez Giuseppe Verdiego ósmym cudem świata.

Kuracjuszom o duszach poetyckich i o usposobieniu nieco romantycznym polecam gorąco zwiedzenie malowniczych, pochodzących z osiemnastego wieku ogrodów w Collodi, o czarujących tarasach i pomysłowych wodotryskach.

Bogatem urozmaicheniem pobytu w Montecatini są też liczne rozrywki wieczorne w kinach, teatrach, kawiarniach, na dancinach hotelowych, jakoteż na ożywionej — jak zawsze we Włoszech — ulicy, no i... w pobliskiej pinecie, dokąd radzę jednak pójść przy srebrzystym oświeceniu dobrotliwego i wyrozumiałego księżycy i to w miłym, arcymiłym towarzystwie, bo Montecatini, pomimo „brzydkiej” nieco kuracji we dnie, wyczarowuje wieczorem przebogate gamy nastrojów i czaru.

Fr. Szyfmanówna.

Z SALI ODCZYTÓW

Odczyt Juljusza Kaden-Bandrowskiego: „Walka o nową kobietę”.

Zaczął się od teściowej, a skończyło na Lenorze. Zrazu zdawało się, że Kaden pozazdrościł Makuszyńskiemu zręczności w żonglowaniu komunalami. Był to żartobliwy dyg w stronę „publiczki”, popisowy numer wytrawnego szermierza, który zadaje cały szereg cięć w próżnię z uśmiechem: „patrzcie! ja i to potrafię!”. Żart niebezpieczny, bo „publiczka” lubi być brana na serjo i mogłaby pomyśleć, że to właśnie tak trzeba, że Kaden inaczej nie potrafi.

Dowiedzieliśmy się zatem, jak to siedmioletniemu Kadenowi objawił się poraż pierwszy ten cudowny kwiat „panna”, w chwili, gdy go dwie służące ścigały sznurowadłami, aby „kwiat” był wcięty w pasie. Potem, ile to wysiłków kosztowało młodzieńca szesnastoletniego, żeby na ulicy podczas deszczu zobaczyć ponad wysokim, sznurowanym bucikiem kawałek ludzkiej, żywej, ruszającej się nogi. Wreszcie oznajmiono nam, że małżeństwo jest najgenialniejszym wynalazkiem mężczyzny, genialniejszym, niż elektryczność, maszyna parowa i t. d. „Naprzód, wmawiamy kobiecie, że będzie stała na piedestale najwznioślejszego powołania i świętości, a potem dajemy jej w jedną rękę ściereczkę do kurzu, w drugą — chochlę do zupy i komenderujemy: „porządeczek, śniadanko, obiad, pranie i t. d.”. Na to zdobyć się mógł tylko mężczyzna.

Miłość? Potraktował ją Kaden, jak poeta, z należnym jej kultem i patosem. „Właściwie o tem powinna mówić publiczność”. (Chwała Bogu, że nie mówiła, byłoby za dużo prelegentów z „laski bożej”). Na koturnach wkroczyliśmy w dziedzinę literatury. Gwiazdzystym deszczem obsypały nas meteory słowne o miłości Adama i Maryli. A potem opowiedziano nam historię Manon Lescaut, i wytłumaczono, dlaczego jej skandaliczny nieco żywot jest po dziś dzień czytany i komentowany w szkołach francuskich. Oto poprostu dlatego, że Manon jest doskonałym typem miłosnym swojej rasy i środowiska. Takim typem dla Polski, według Kadena, jest Halka, moniuszkowska Halka, ofiara systemu pańszczyźnianego i „wielkiej męskiej zмовy”.

I tu następuje raptowny zwrot w wywodach Kadena. Apologeta miłości przeradza się w apologetę kobiety. Publiczka,

vel publiczność, zostaje podniesiona do rangi słuchaczy. Olśniewa się ją literackimi paradoksami. Rzuca się jej śmiało twierdzenie, że rodzone wnuczki Halki — to Marynia Połaniecka i Ewa Pobratymska. Jaki? matrona i zbrodniarka? Właśnie, że tak, proszę się nie gorszyć, bo przecież i Marynia, która traktowała małżeństwo, jako „służbę bożą”, i Ewa, którą załamała i wykoleiła zdrada Łukasza — to dwie siostry, dwie ofiary „męskiej zмовy”.

Feministyczne stanowisko Kadena ułatwia mu przeprowadzenie tej śmiałej linii genealogicznej, no, i wejście w sam środek zagadnienia: jak wyglądają jego kobiety? dlaczego są nowoczesne? Pani Miechowska z „Łuku” jest nowoczesna, bo po wzięciu męża do wojska, nie czeka na niego, jak Solvejg na Per Gynta, ale ośmiela się prowadzić samodzielne życie biologiczne. Pani Hanka z „Generała Barcza” jest nowoczesna, bo nie chce podporządkować się indywidualnym interesom mężczyzny, nie zabija życia, budzącego się w jej łonie.

A Lenora z „Czarnych skrzydeł”? Dla Lenory, którą od dziecka „rzucają na kopalnię”, dla tej Lenory, która sama o sobie mówi: „wołają mnie Lenora, a nazwisko — to rzecz policjanta”, dla tej ofiary systemu kapitalistycznego i męskiej brutalności, dla niej, rzecz prosta, ma Kaden słowa najczulsze i najrzewniejsze. Przecież to ostatnie ukochane dziecko. Tamte nie miały „prawa powszechności”, tej na imię milion. To prawda.

Tylko jedno małe zastrzeżenie. Wolność obyczajów może być jedną z cech kobiety nowoczesnej, ale nie wyłączną i niezbędną. Właśnie dlatego, że wyrobiła ona sobie niezależność materialną i możność samostanowienia o sobie (myślę o kobiecie z inteligencji, nie o dziewczynie z proletariatu kopalnianego), właśnie dlatego, że ma prawo wyboru między miłością a miłością, że przełamuje kajdany „męskiej zмовy”. Ta istotnie „nowa kobieta” czeka jeszcze na swego piewce i rycerza. To, co nam o niej mówił Kaden w swym odczycie, było nie walką o nią, ale zaledwie jej zapowiedzią.

S. P. O.



TEATR NOWY.

Stanisław Szpotański: „Sprawa D-ra Hieronima” — sztuka w trzech aktach. Reżyserja Emila Chaberskiego. Dekoracje Wincentego Drabika.

Sezon w Teatrze Nowym otwarto sztuką St. Szpotańskiego: „Sprawa D-ra Hieronima”. Jest to dramat psychologiczny, w którym główny bohater należy do galerii typów patologicznych. Bo dr. Hieronim jest trochę jakby nitscheański, jest takim „mocnym”, t. zn. bezwzględnym człowiekiem o z gigantyzowanej ambicji. Genialność dra Borzyny uzurpuje więc sobie prawo do żerowania na otoczeniu, do wampiryzmu, a wreszcie do usuwania przeszkód nawet zbrodnią.

Uwięziony za zamiar otrucia żony, która mu przeszkadza, zwolniony na skutek odwołania przez żonę tego oskarżenia — Borzyna chce kontynuować swoje życie mocnego człowieka. Wyrzutów sumienia taki genjusz nie odczuwa. Przeciwnie — wierzy w swoją rację, wierzy w swoją wielkość, wywyższa się w sposób przykry, koguci. A zresztą, wiadomo: ja i tłum!

Zdumiony tem, że właśnie tłum, recte opinja, odwraca się od niego, staje wobec nieznanej mu siły — wobec praw moralnych. Wszyscy wokół poddają się bowiem temu prawu i odczuwają wstręt do zbrodni. Kobieta, która go kochała, potępia go, syn widzi w nim potwora, wydawca nie chce wydać jego

dziel, odbiorcy radja nie chcą słuchać jego odczytów. Ostatecznie staje się wykołajcem, bezdomnym nędzarzem, przegarniętym z łaski przez naczelnika więzienia, który ma dobre serce dla wszystkich byłych więźniów.

Syn mówi o d-rze Borzynie, że jest dniem dzisiejszym, że taki właśnie bezwzględnie wyrozumowany, zimny, zbrodniczy jest dzień dzisiejszy. Jutro natomiast, to jutro, które należy do syna, jest wrzącą pracą dla dobra ludzkości. Ale właśnie ten indywidualizm nitscheańskiej bestji, idącej po trupach, jest pasyistyczny. Takie sprawy widzieliśmy już u Przybyszewskiego. Dziś tego rodzaju zawikłania rodzinno-uczuciowe, jakie nam pokazał autor, rozwiązuje się łatwiej, a opinia nie jest tak bardzo subtelna, by potępić kogoś, kogo sąd zwolnił. Dr. Hieronim, taki właśnie współczesny dr. Hieronim, mógłby dziś świetnie wyzyskać sensacyjność swojej sprawy. Mógłby ją doskonale spieniężyć. Jego „raubritterstwo“, jego silna pięść dopomogłaby mu do zrobienia kariery. Może tak zresztą było i wczoraj, a może tak będzie i jutro. Opinia jest perwersyjna.

W sztuce Szpotańskiego działają przez trzy akty — Erynie. Osaczają zbrodniarza, szarpia go, zginają ku ziemi. Jak wyklęty, pozbawiony jest prawa do życia wśród ludzi. A on nie spiera się o to prawo marne i malutkie, on chce panować nad tłumem, chce sławy, uznania, podziwu i uwielbienia. I dopiero, gdy zrozumiał, że wolno mu tylko być maluczkim i skromnym, że go tu ledwie będą tolerować — strzela sobie w łeb. Lecz nie koniec na tem. Gdyby Szpotański pozwolił Borzynie umrzeć, albo gdyby z niego wydobył wyznanie — sprawa d-ra Hieronima byłaby jeszcze jednym przykładem na konieczność ekspiacji za zbrodnię. Ale Borzyna, wyleczony z rany postrzałowej, dostaje obłąkania na tle manji wielkości. Jako speaker radjowy, zamiast zapowiedzieć odczyt prof. Bliniewicza, ogłasza ludziom koniec świata. Panika opanowuje miasto, wyjący tłum dopuszcza się szaleńczych wybryków, niszczy, pali, rabuje i obłąkany Borzyna dopił swego. Panuje przecież nad tłumem, panuje nad dziełem zniszczenia. Niby, że świat dzisiejszy wali się w gruzy?

Zmobilizowano najlepszych aktorów do tej dziwnej: ciekawej i naiwnej, rozumnej i nielogicznej sztuki. Grali oczywiście dobrze: pp. Brydziński, Dulęba, Wroncki, Solska, Norski, Majdrowiczówna, Staszkowski, Gawlikowski, Janusz i t. d. Dekoracje Drabika zachwycające, zwłaszcza studjo radja.

Herminja Naglerowa.

WALNY ZJAZD PIELEŃNIAREK W KRAKOWIE

W dn. 19 i 20 października r. b. odbył się w Krakowie doroczny walny zjazd Polskiego Stowarzyszenia Pielęgniarek Zawodowych.

Mszę św. na rozpoczęcie zjazdu odprawił ks. Metropolita Sapięha w kaplicy Szkoły Pielęgniarek i Higienistek przy ul. Kopernika 25.

W ciągu 2 dni zjazdu wygłoszone zostały referaty na temat: „Przeszłość i przyszłość medycyny społecznej“ przez Dr. Cz. Wroczyńskiego, o „Dziecku psychopatycznym“ — p. Wiśniewskiego, Dr. Piltza i p. Stopczewskiej i o „Doszkalanu pielęgniarek społecznych i szpitalnych“, oraz referaty pp.: Jędrzejewskiej, Gołębianki i Suffczyńskiej. Każdy referat wywoływał ożywione dyskusje.

Obrady plenarne zjazdu zaszczytliwi swą obecnością: Jego Eks. ks. Metropolita Sapięha, przedstawiciel Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, oraz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przedstawiciel Uniwersytetu Jagiellońskiego, Magistratu m. Krakowa oraz wiele wybitnych osób ze sfer naukowych Krakowa, interesujących się zagadnieniem Polskiego Stowarzysze-

nia Pielęgniarek Zawodowych oraz programem prac zarządu.

Dwa posiedzenia poświęcono sprawom zawodowym oraz sprawozdaniu ogólnemu i kasowemu zarządu. W ciągu roku ubiegłego prace zarządu wykazały wyniki następujące:

1) Na Międzynarodowy Kongres do Kanady wysłano delegatkę, która odczytała tam sprawozdanie z rozwoju pielęgniarstwa w Polsce za czas ostatnich 4 lat. Szczegółowe sprawozdanie z Kongresu zostało odczytane przez prezeskę na jednym z posiedzeń plenarnych.

2) Przystąpiono do udziału w budującym się „Domu Wypoczynkowym“ w Krynicy

3) Rozpoczęto wydawnictwo pisma zawodowego „Pielęgniarka Polska“, którego ukazały się już 4 numery.

4) Wzięto udział w urządzeniu Działu Pielęgniarskiego na P. W. K. w pawilonie rządowym, Dep. Zdrowia przy Min. Spraw Wewn.

5) Opracowano szkic projektu ustawy o pielęgniarstwie i złożono w Dep. Zdrowia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Jako najważniejsze rezolucje zjazdu i program prac na rok następny, należy wymienić:

a) prowadzenie pisma,

b) utrzymywanie kontaktu z Międzynarodowym Związkiem Pielęgniarek,

c) urządzenie doszkalcających kursów dla absolwentek szkół.

Liczny zjazd członkiń Stowarzyszenia z całej Polski, jak również łaskawych gości, oraz ożywione dyskusje wskazują, że Stowarzyszenie Pielęgniarek potrafiło zainteresować swoją pracą szerszy ogół i całe społeczeństwo zaczyna się coraz żywiej zajmować sprawami pielęgniarstwa.

J. S.

Kobieta w świecie i w domu

UCZONE POLSKIE WSTĘPUJĄ NA KATEDRE.

W liczbie nominacji na profesorów, które Rada Ministrów przedstawiła p. Prezydentowi Rzeczypospolitej, znajdują się dwa nazwiska kobiece: p. dr. Cezarji Ehrenkrentzowej, docentki uniwersytetu wileńskiego (wniosek o mianowanie profesorem etnografji i etnologji na tymże uniwersytecie), oraz p. Heleny Willmanowej — o mianowanie jej profesorem sankrytu indyjskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Będą to pierwsze kobiety na stanowiskach profesorów uniwersytetu. Nazwiska obu już dobrze znane i zasłużone w nauce polskiej.

MOŻNA ŁATWO NAUCZYĆ SIĘ HODOWAĆ PIECZARKI.

Od dłuższego już czasu zaczęła się u nas rozwijać hodowla pieczarek, do której zachęcali niejednokrotnie wytrawni fachowcy. Zwrócono się również do ministerstwa rolnictwa o podtrzymanie i roztoczenie opieki nad pieczarkarstwem. Po przeprowadzeniu szeregu badań i prób nad racjonalnością hodowli pieczarek, które to próby wypadły pomyślnie, ministerstwo rolnictwa otwiera w d. 4 listopada b. r. w Poznaniu pierwszy kurs nauki hodowania pieczarek. Celem jego będzie wyszkolenie szeregu fachowców, jako hodowców i instruktorów hodowli pieczarek.

Program kursu obejmuje teorię hodowli, opartą na zasadzie badań bakteriologicznych w specjalnych instytutach zagranicznych oraz praktykę, opartą na wzorach francuskich. Kurs trwać będzie dwa miesiące i odbywać się na terenie za-

kładów spółki „Polska Pieczarka“. Oplata za kurs wynosi 100 zł. i 25 zł. za egzamin i świadectwo. Zgłoszenia wraz z wpisem (4 zł.) nadsyłać należy pod adresem prof. Feliksa Teodorowicza: Poznań, Wały Królowej Jadwigi 3, II piętro.

TERAZ CHYBA FRANCUZKI OTRZYMAJĄ PRAWO GŁOSOWANIA.

Wielki Kongres radykałów w Reims obradował w tych dniach nad zasadniczymi zagadnieniami polityki francuskiej. Wielką wagą tego zjazdu było, że odbył się w chwili przesilenia rządowego: dymisji gabinetu Brianda. Pewne sfery polityczne francuskie nie mogły zgodzić się z pokojową polityką gabinetu Brianda, idącą na poważne ustępstwa dla Niemiec. Trudność jednak leży w tem, iż można krytykować zbytne ustępstwa, ale... do wojny też dopuścić nie można. Trzeba znaleźć kompromisowe wyjście. Te nadzieje pokłada właśnie społeczeństwo w partii radykalnej i dlatego oczy całego kraju zwrócone były na jej obrady. I oto na tym zjeździe stronnictwo, wśród różnych ogromnej wagi uchwał, dotyczących polityki zagranicznej i wewnętrznej, zawotowało również *przyznanie praw wyborczych kobietom*.

Dotychczas sprawie tej opierały się zgodnie wszystkie partje. Wyłom, uczyniony przez radykałów, nabiera więc bardzo wielkiego znaczenia, wobec ogólnej sytuacji politycznej i prawdopodobnego dojścia radykałów do władzy.

HEREZJE FORDA.

Henryk Ford jest jednym z najznakomitszych fabrykantów i świetnych organizatorów przemysłu, powinienby więc orientować się, co się w tymże przemyśle dzieje.

Tymczasem świeżo ogłoszono w jednym z pism amerykańskich artykuł, w którym „król samochodów“ powypisywał niesłychane rzeczy o pracy kobiet w przemyśle. Ford twierdzi, że kobieta wogóle nie umie... myśleć, a wobec tego w *przemyśle* nie po niej. Średnio zdolny mężczyzna stoi o całe niebo wyżej, niż najzdolniejsza kobieta. Może ona być najwyżej uczciwą rutynistką, sumienną i obowiązkową, lecz nie może stworzyć niczego wielkiego, a praca jej w przemyśle nie wyda żadnych rezultatów!

Zdumienie doprawdy ogarnia, jak człowiek tej miary, co Ford, mógł wypowiedzieć tego rodzaju enuncjacje. W tym samym czasie dane statystyczne wykazały, że 41 procent wszystkich zarobków w Stanach Zjednoczonych otrzymują kobiety, że płacą one 4 miljarde rocznie podatków, z tych 44 kobiety zapłaciły od miliona dolarów dochodu rocznie, a 159 od pół miliona. Wszystko to jest chyba rezultatem pracy i myślenia, w kraju, gdzie tylko pracą dochodzi się do majątku i to właśnie głównie w zakresie wytwórczości przemysłowej. Ale i w innych krajach, gdzie tempo pracy nie jest tak zawrotne, kobiety jednak nie próżnują. W Austrii w przemyśle przedziałanym i tkackim, papierniczym, artystycznym i manufakturowym liczba kobiet *przewyższa* liczbę mężczyzn. W Niemczech pracuje zawodowo 33 proc. kobiet, z czego 10 proc. stanowią *samodzielne przedsiębiorczynie*. To też jasne jest, że można znać się na organizacji przemysłu, a jednocześnie nie mieć pojęcia o wartości jego pracowników.

CO MA ZROBIĆ TAKA MATKA?

Pismo kobiece francuskie „La Française“, które między innymi problematami równouprawnienia zajmuje się również gorąco sprawą dopuszczenia kobiet do sądownictwa, przytacza następujący wypadek rozpaczliwej tragedii ludzkiej, wynikłej na tle jednej z martwych liter dzisiejszego kodeksu.

Autorka artykułu opiekuje się od pewnego czasu młodą dziewczyną, która poraz drugi została matką. Ojciec jej dzieci chce ją poślubić, ponieważ jednak dziewczyna jest niepełnoletnia, potrzeba na to zezwolenia jej ojca. Człowiek ten odsiaduje od trzech lat więzienie, karę za jeden z najohydniejszych występków przeciwko moralności. Pomimo tego, nie jest



Najpiękniejsza indjanka Miss Rosie Grimer z Topeka, ze szczepu Pottawata.

pozbawiony swych praw ojcowskich (przez niedopatrzenie w kodeksie, jak wyjaśniają prawnicy) a nie chce słyszeć o daniu zezwolenia na ślub córki; może da je, ale gdy wyjdzie z więzienia, a to nastąpi najwcześniej za rok. A co będzie jeśli się rozmyśli, lub jeżeli kochanek córki zniecierpliwi się czekaniem? Dziewczyna pozostanie wtedy z dwojgiem nieślubnych dzieci pod opieką ojca-zbrodniarza?

Słusznie twierdzi redakcja „La Française“, że podobne wypadki nie miałyby miejsca, gdyby kobiety brały udział w sądownictwie. Kobieta-sędzia zastosowałaby tu nie martwy i w dodatku „niedopatrzony“ paragraf, lecz poszłaby drogą żywej i racjonalnej sprawiedliwości.

DZIENNIKARKA FRANCUSKA I PREMJer ANGIELSKI

Znana dziennikarka francuska, p. Andrée Viollis, ogłosiła w „Petit Parisien“ wywiad z premierem Anglii, p. Mac Donaldem, na temat długów europejskich w Ameryce, w związku z rewizją spłat międzysojusznicznych.

Opinia premiera angielskiego wywołała w prasie amerykańskiej protesty; p. Mac Donald, nie chcąc narażać się potężnemu mocarstwu, nie miał nic pilniejszego do zrobienia, jak... ogłosić w „Chicago Daily News“, że wywiad p. Viollis zawiera złośliwe nieścisłości, zdania, których on, premier Anglii, wcale nie mówił.

Pani Viollis, dotknięta w swej zawodowej sumienności, zwróciła się ze skargą do Francuskiego Syndykatu Dziennikarzy, który będzie miał niełatwe zadanie uzyskania satysfakcji od p. Mac Donalda — ogłosił natomiast, w obronie pani Viollis, iż stwierdzono, że nie tylko nie przekreśliła ona cennych słów premiera brytyjskiego, lecz, że wywiad był jej podyktowany przez samego Mac Donalda, i że premierowi przed wydrukowaniem w „Petit Parisien“ przedłożono tekst ostateczny w języku francuskim i angielskim do zatwierdzenia. Wobec tego wszelkie zarzuty przeciw pracy p. Viollis są niesłuszne.

Sprawę omawiały, oczywiście, także dzienniki angielskie. „Times“ stwierdza, że „co się tyczy wywiadu p. Viollis, to sprawa była załatwiona, jak się zdaje, z najtroskliwszą i najlojalniejszą starannością“ i domaga się oczyszczenia autorki z publicznego oskarżenia o nadużycie zawodowej praktyki.

NOWE I STARE ZASADY DOMOWE

Najwidoczniej jednak, wbrew wszystkiemu, Polska się potrosze rozbudowuje, albo też na jesieni wykończy jakieś dawno zaczęte domy, bo naraz jakoś z kilku stron dostałam listy z prośbą o napisanie, jak urządzone są mieszkania zagranicą. Zreasumowawszy zapytania, doszłam do wniosku, że moim korespondentkom idzie właśnie o przeciętne mieszkanie, średnio zamożne niejako, któreby dało się przenieść na nasz grunt. Bo, jak pisze słusznie jedna z pań: „nie można przecież całe życie żyć tak, jak żyli dziadkowie, i nie wiedzieć, co wymyślili ludzie, żeby było praktyczniej, łatwiej i przyjemniej”...

Słusznie! Na tem zasadza się postęp, że do pomysłu dziadków dodajemy wynalazki wnuków. Jednak najbardziej idącymi z postępem wydają mi się Amerykanie, może dlatego właśnie, że tam wpływ dziadka jest minimalny. Dziadek zostaje przeważnie w swojej ojczyźnie — tej czy innej — która się zawsze u emigranta nazywa „stary kraj”. A on sam, zdobywca nowych sposobów i środków, jedzie w Nowy Świat — dosłownie i przenośnie — i bagaż jego moralny, jak i faktyczny, ograniczony jest do rzeczy najniezbędniejszych. Ma głowę otwartą na wszystkie nowe wynalazki i pomysły.

Otóż, jak urządzili sobie dom i życie Amerykanie?

Kiedys, po powrocie z Ameryki, musiałam już o tem chyba pisać. Ale zawsze z przekonaniem powtórzę to, co stanowi ich rysy najwybitniejsze, bo osobiście jestem pod wieloma względami entuzjastką Ameryki i uważam, że niezmiernieby nam zdrowo zrobiło chociaż w części przejąć ich doświadczenia mieszkaniowo-organizacyjne.

Małe mieszkanie amerykańskie jest — małe. Są wąskie schody, niewysokie sufity, pokoje nieduże, ale urządzone jest z tem wszystkiem doskonale. Amerykanin obmyśla każdy szczegół mieszkania pracowicie i celowo, bo nie służąca, o którą mniejby dbał, tylko jego żona, córka, czy wkońcu on sam — będą ciągle się potykali o złą jego organizację, lub o jej braki. Dlatego jest ich mało, a w stosunku do naszych — niema wcale.

Przed każdym domem mieszkalnym amerykańskim stoi co rano imponująca beczka śmieci, która nas, Europejczyków, z początku ogromnie obrażała. Potem przyjeżdża coś, co ją zabiera, i beczka ginie z oczu. Zapewne! Możliwyby lepiej. Ale zato jest na tem polu rewanz: w mieszkaniu amerykańskim, nawet zupełnie ubogiem, niema ani w połowie, ach! ani w części tego śmietniska niepotrzebnych gratów, jakie zapychają kąty u nas. Wszystko to jest w beczce. Łamane nogi od krzeseł, formy po kapeluszach,

pudełka, blaszanki, urwane ucha czajników, stare pantofle, kosze po kwiatach i różnorakie skarby, które u nas tak nieprawdopodobnie ohydzą każde mieszkanie, tam nie istnieją.

Proponuję na próbę psychologiczną każdej gospodyni jutro rano położyć na środku pokoju dużą płachtę, czy koc, i zacząć pokolei wyrzucać na nie wszystko, co wpadnie jej pod rękę, z szufladek, komódek, pawlaczy, kuchennych zakamarków i nigdy nieoglądanych półek po składzikach. Przekona się, że amerykańska beczka nie jest złym wynalazkiem; zastępuje ją częściowo polski śmietnik, a daleko lepiej — świetny pomysł tak zwanego Pocijowa; był taki dobroczynny wóz, który objeżdżał czasu wojny domy i zbierał wszystkie zbędności, od połamanych zabawek, do zdeptanych trępek służącej włącznie. I jeszcze za to dziękował, bo jakaś nędza jednak i z tego miała uciechę i pomoc. Taki Pocijów, na mniejszą czy większą skalę, powinien być zorganizowany wszędzie, w każdym miasteczku, w każdych kilku zrzeszonych rodzinach, któreby sobie zaprzysięgły wiernie, co wtorek, powiedzmy, czy co sobota, robić w domu takie generalne odkażenie. Nawet nie wyobrażamy sobie, ile estetyki dla oka i wiele zdrowia dla płuc odbiera nam taki Pocijów, przechowywany w domu!

U Amerykanki kąty nie są zapchane. Są czyste i wolne. Meble niechętnie stoją pod ścianami: trudno odsuwać codziennie do sprzątania, a sprzątać trzeba. Amerykanie mają zasadniczo — i proszę o tem pamiętać!... — nieporównanie mniej gratów, niż my, nawet w zamożnem środowisku. Przeprowadzka amerykańska jest zabawką w stosunku do naszej. Niema żadnych szaf: czekają w ścianach mieszkania, obszerne, wygodne i na wszystko przeznaczone zgóry starannym namysłem. Są w kuchni do naczyń, w przedpokoju do ubrań, w sypialni do sukien i przy każdym zresztą pokoju do toalety, tak, że sypiając w salonie na łóżku, które się rozkłada mistrzowsko z otomany, a nawet — z fotela: można się ubrać całkowicie w osobnym pokoiku-szafce, i mieszkanie jest zawsze świeże. Te amerykańskie szafy — to wielka wygoda u nich, której u nas brakuje, i nie mogę absolutnie zrozumieć, czemu przy budowaniu nowych domów architekci nasi nie myślą dostatecznie o tem oszczędnem, tyleż co wygodnem, urządzeniu nowoczesnych mieszkań zagranicą.

Druga kłopotliwa w przeprowadzce rzecz — lustro — także odchodzi, bo przeciętnie każdy salon ma już zawczasu wmurowane w ścianę potemu najodpowiedniejszą — tremo. Można przytem polegać, że wmurowane będzie właśnie tam, gdzie jest istotnie najlepiej, i na tem polega wielka różnica z naszymi sposobami w tym względzie, gdzie trudno zaufać komubądź, bo będzie to robione niedbale i bezmyślnie.

Pozatem, meble są duże, wygodne i obmyślane tak, aby mogły służyć do rozmaitego użytku: wanna

jest zakryta stołem na letniskowych mieszkanek; fotele i otomany robią łóżka; skrytki takie i owakie są przeznaczone na naczynie, obuwie, drobiazgi. W amerykańskim mieszkaniu żadna rzecz nie jest bez miejsca i każda rzecz ma to właśnie miejsce, jakie dla niej jest najodpowiedniejsze. Kłopoty kuchenne amerykanki są sprowadzone do minimum i wszelkie ułatwienia są przewidziane: do zlewu jest przeprowadzona gorąca woda dla zmywania; zlew jest inny, niż u nas, i zaopatrzony w boczne skrzydło dla stawiania zmywanych naczyń; półki kuchenne, obmyślane tak, aby trzeba było zrobić minimalną ilość ruchów dla sięgnięcia po sól, pieprz i inne drobiazgi — słowem, organizacja pracy w gospodarstwie kobiecym jest na poziomie, o którym u nas długo jeszcze zapewne będziemy tylko marzyły. A największą wygodą jest to, że na telefoniczne zażądanie każdy sklep — rzeźnik, zielennik, owocarnia, mleczarnia — dostawia do mieszkania wszelką ilość produktów, za grosze, zarówno jak za wielkie dolary. Dolary te i grosze można przytem spokojnie zostawić na ckienu kuchennym, wychodząc na schody, gdzie posłaniec zostawi produkty i odbierze sobie należność z ogólnej maleńkiej sumy, jaka tam leży dla niego i dla jemu podobnych dostawców. Rozmaite proszki samoczyszczące do kuchni, szczotki samozmiatające i elektryczne pomoce są w najmniejszych gospodarstwach. Przytem domy mieszkalne mają w suterenie — zupełnie przyjemnej — urządzone pralnie dla każdej żyjącej pani, która tam też, najczęściej sama, pierze grubszą bieliznę. Osobiste krepdeszynki wogóle są prane w łazience.

A teraz — słówko o tej łazience, klejnocie i chlubie amerykańskiego domu.

Łazienkę ma każde mieszkanie — zarówno robotnicze, jak bogate. Ale oczywiście urządzone są różnie.

Jednak, biorąc zupełnie przeciętne urządzenie, jest zawsze, w porównaniu z naszym, śliczne. Łazienka — to, po jadalni, pokój najbardziej obsłużony. Jest biała, czysta i przejrzysta. Ma wszelkie możliwe urządzenia do przysnyców i natrysków. Każdy szanujący się Amerykanin ma tam porządnie zawieszony szereg szczotek i wiechci, jakimi pielęgnuje po, czy przed, czy w czasie kąpieli swoje mięśnie. Szereg odpowiednio włochatych, czy kostropatych ręczników będzie go wycierał po kąpieli. Gimnastyka dopomoże mu do utrzymania ich ostatecznie już w sprawności. Ale łazienka jest podstawą zdrowia i tężyzny Amerykanów. Zarówno kobiety, jak mężczyźni tak lubią się w wodzie i kąpią się przeważnie dwa razy dziennie, zwłaszcza podczas upałów. Jest to podstawa pięknej cery amerykanki i jej wysportowanego, doskonale wykapanego, zawsze świeżego ciała. Depilatory i pudry, dodające mu uroku, są w nierównie większym użyciu tam, niż u nas. Intymna toaleta amerykanki nie ustępuje w ni-

czem francuzce, a wyznam, że mam większe przekonanie do jej gruntowności.

Dzięki tym urządzeniom, które pozwalają Amerykance na odbywanie prac domowych w rękawiczkach i gumowym fartuszk, względnie bez szkód dla swego wyglądu, może ona potem bezpośrednio wziąć pachnącą, czystą kąpiel, przebrać się na damę i, wsiadłszy w auto, które ma, a którym kieruje sama, pojedzie na spacer, porobi sprawunki i zdąży jeszcze, wróciwszy do domu, ugotować dla siebie, męża, czy rodziny, obiad... złożony z konserw, w łwiej jego części. I na tym szczególe, którego nie mogę, niestety, dla Polski zalecać!... kończę narazie moje amerykańskie rozważania, które oby dopomogły moim korespondentkom w korzystnych inowacjach dla urządzenia swego nowego życia.

M. H. Szpyrkówna.



LIST BEZ ADRESU

(dokończenie)

Pytanie drugie: „Pozatem zastanawiam się nad sprawą owsa w nawozie. Pominąwszy już kwestję symbjozy, wiadomą jest rzeczą, że pieczarka potrzebuje dużo cukru. Cukier ten czerpie w znacznej ilości z owsa. Otóż, jeżeli nawóz jest ubogi w owies, czy nie możnaby sypać poprostu owies cały, lub mielony. Zaszkończyłoby to nie mogło, sądzę, w żadnym razie“.

Odpowiedź: Dotąd napróżno nauka sili się nad rozwiązaniem problemu sztucznej hodowli borowika („grzyba prawdziwego“). Tuż przed wybuchem wielkiej wojny ogłosił wyniki swych dociekań w tym względzie pewien biolog rosyjski. Powiedział on ni mniej, ni więcej, tylko, że borowik da się sztucznie hodować na nawozie... ślimaków! I to nie bylejakich, lecz tylko tych, które karmiono świeżymi borowikami!

Rzecz prosta! Zarodnik borowika, zdaniem owego biologa, musi przejść przez żołądek ślimaka, by, w odpowiednich następnie warunkach symbiotycznych, mógł wykiełkować.

A co do pieczarki, potwierdziły to ściśle, wieloletnie badania prof. dra Ryszarda Falcka, kierownika instytutu mykologicznego w akademii leśniczej w Hannover'sche-Münden (np. jego praca „Ueber die Sporenkeimung des Champignons“, Cassel — 1924), jak też ciekawe odkrycia badaczki uniwersytetu w Kanadzie — dr. Ferguson. Stwierdzili oni empirycznie, że do symbjozy z pieczarką nadaje się jedynie taki owies, który przeszedł niestrawiony przez żołądek konia, względnie innego zwierzęcia, karmionego owsem (osiół, muł, koza, owca). Opiera-

jąc się na tej zasadzie, prof. Falck stwierdził, że zarodniki pieczarki kiełkują do 45% w odpowiednim roztworze (i warunkach innych!) kwasu mlecznego, który, jak wiadomo, jest jednym z głównych składników soku żołądkowego np. konia, gdy kiełkowanie tych zarodków w roztworach innych kwasów, cukrów i t. d. nie przechodzi 15 do 18%, a najczęściej nie ma miejsca wcale. Na tej też podstawie opierając się, wpadłem na pomysł zasilania kwasem mlecznym nie zarodków pieczarki, lecz jej słabnącej już grzybni w hodowlach, i, jak dotąd, z rezultatami ciekawymi, dodatnimi!

Jak więc zrozumieć łatwo, na nic zda się dosypywanie do nawozu pod hodowlę pieczarek owsa surowego, całego, czy tłuczonego. Nietylko zaś nie zda się to na nic, ale i szkodę wielką przynosi, bo skrobica (mączka) owsa, gnijąc w nawozie, tworzy znakomitą pożywkę dla najrozmaitszych pleśniaków i innych grzybków, które wywołują nieraz szalone spustoszenia w hodowlach. Dlatego tak szkodliwy dla pieczarek jest nawóz od koni dokarmianych, na przednówku zwłaszcza, ziemniakami, marchwią i t. p., na co przy wyborze nawozu w pierwszej mierze zważać należy!

I, dziwna rzecz, doprawdy! Jeszcze w Polsce całej nie spotkałem takiego kandydata na pieczarkarza, któryby pierwszej swej hodowli nie zaczynał od... w najgłębszej tajemnicy utrzymywanego zrazu, „własnego wynalazku” — dosypywania do nawozu świeżego, surowego owsa!

Pytanie trzecie: „Czy pieczarki przestają rodzić z powodu wyczerpania podłoża, czy z powodu wyczerpania grzybni?”

Odpowiedź: Nieporozumienie, proszę Szan. Pani! Bo pieczarka jest „owocem” grzybni, jak np. jabłko owocem jabłoni; więc, nie pieczarka rodzi, tylko grzybnia. A ta przestaje rodzić z chwilą wyczerpania podłoża.

Pytanie czwarte: „Czy nie przypuszcza Pan, że p. Brzozowskiemu nie udało się otrzymać dłuższego owocowania z powodu zbyt cienkiego pokładu nawozu (20 cm.)?”

Odpowiedź: Zbyt cienki pokład nawozu był tu przyczyną naczelną (trzymiesięczne owocowanie hodowli wymaga pokładu wysokiego na 45 cm.). Ale w treści broszury p. Brzozowskiego, t. j. w odchyleniach się jego od „systemu” francuskiego, widzę i inne przyczyny.

Pytanie piąte odnosi się do literatury pieczarkarstwa. Odpowiem na to przestrogą, by nie wczytywać się w ową ogromną masę broszur, jakie, głównie w językach francuskim i niemieckim, wałają się po świecie. Kto mi nie ufa na słowo, niech sprowadzi dwie jakiegobądź broszury i porówna je dokładnie: napewno znajdzie w nich dwa odmienne „systemy”! Co broszura, to „system”!... Moje także, a juści! Tyl-

ko, że moje — to „system” francuski, a ten jedynie pewny i najkorzystniejszy, bo na wiekowem doświadczeniu oparty.

Nauka ścisła mało dotąd pieczarkarstwem i wogóle hodowlą grzybów wyższych się zajmuje. Kto ciekaw śledzić postępy nauki ścisłej w tym względzie, niech czytuje rozprawy prof. dra Falcka i wydawnictwa Instytutu Mykologicznego Uniwersytetu w Kanadzie, bo tylko w tych dwóch ogniskach wre zmuśna i zawiła praca nad poznaniem warunków owocowania u grzybów.

A przedewszystkiem dowiedzieć się należy, że pierwszą cegłę pod gmach tej poczynającej się dopiero wiedzy, położył rodak nasz, Edward Janczewski, znakomity biolog krakowski, który pierwszy zaobserwował i do wiadomości nauki podał fakt, że pospolity mieszkawiec nawozu, grzyb (*ascobolus furfuraceus*), wtedy dopiero nabiera zdolności kiełkowania i rozradzania się, gdy zarodniki jego, dostawszy się na paszę, zwykle podawaną królikom, przejdą przez żołądek tych zwierząt, a nie innych.

Niechże zatem wiadomości, tu podane, rozjaśnią nieco pogląd na spowitą wieloma jeszcze niedocieczonemi, a przedziwnemi tajemnicami sprawę rozmnażania się grzybów, pouczając zarazem, że na nic zdadzą się „systemy”, gdy rzecz sama ciemna jeszcze, jak noc. Miał snuć wynalazki bez odpowiedniego przygotowania, miał wprowadzać niemi coraz to większy zamęt, uczmy się od tych, co w ciągu dwóch wieków mrówczą pracą zdobyli to, iż z porzuconego przez konia na ulicy kału zrobić można cudne i przesmaczne pieczarki! Mniej dysput, rozmyślań i marzeń czecznych, a więcej pracy woli i rąk — oto dewiza, dla nas dziś naczelną, ku rzeczywistemu odrodzeniu kraju prowadząca!

Prof. Feliks Teodorowicz.



Zbliżają się zimowe wieczory, długie, nużące, które spędzacie beczynnie.

Kupując maszynę pończoszniczą „**ROBUS**” na której praca nie wymaga żadnej poprzednich wiadomości fachowych, zapewni Wam równocześnie minimum:

zł. 200 — 300

stałego miesięcznego dochodu, wypełni beczynne godziny, a równocześnie zwiększając niedostateczne dochody męża, lub pozostałych członków rodziny, zaradzi troskom materialnym, znajdziecie szczęście i zadowolenie. Na kupno tego nowożytnego warsztatu pracy domowej potrzebna gotówka zł. 340 — reszta na spłaty.

Gotowy towar, wykonany na tej maszynie skupujemy, płacąc za wyrób i dostarczamy surowca.

Napiszcie dziś jeszcze do firmy:

Towarzystwo Handlowe J. Kalisz i S-ka. Cieszyń, ul. Trzech Braci 6.

Setki listów pochwalnych i dziękczynnych!
Tysiące maszyn sprzedanych w kraju!

O DARCIU I CZYSZCZENIU PIERZY

Już jesień się zbliża i wiele gospodyń zapewne ze strachem oczekuje nadejścia czasu bicia gęsi i ich opierzenia. Miłe i wygodne są miękkie poduszki i beciki, przyznać jednak należy, że praca koło nich bynajmniej do miłych się nie zalicza. Pomijam tu zupełnie tak zwane podskubywanie gęsi żywych, bo jest to karygodne barbarzyństwo, niestety, na wsiach często jeszcze stosowane. Prawdą jest, że gęsi, jak i kaczki, latem i wczesną jesienią gubią wiele pierzy; podskubując je jednak, czy to dla pośpiechu, czy w zbytym zapale pracy, zatracą się wyczuwanie tych luźnych piórek i wyrwa i te, mocno jeszcze obsadzone. Dowiedzione też jest przez hodowców, że gęś niepodskubana daje w jesieni znacznie więcej piór puszystych, niżby dać mogła podskubana, a pozostawiona do chowu, niesie się na wiosnę bez porównania lepiej, tak, że stratę pogubionych piórek, szczerze wynagradza wiosną jajami i zdrowym i silnym przychówkiem, który wydać może tylko nienadwątlny przez skubanie organizm.

O ile ptactwo nie miało dostatecznej ilości wody, lub ciasne kurniki, trzeba mu na dzień przed biciem sprawić kąpiel i dać się wysuszyć w pomieszczeniu, obficie wysłanem czystą słomą.

Jeżeli mamy większą ilość sztuk do bicia, nie trzeba tego skutecznie od razu, lecz w miarę zdejmowania pierzy, które znacznie łatwiej się odrywa, dopóki ptak jeszcze zupełnie nie ostygnie.

Zabierając się do opierzenia, przygotowujemy sobie trzy duże garnki, żeby nie tracąc czasu, zaraz móc pierze segregować; tak więc do pierwszego garnka kładziemy grubsze pióra, do drugiego — drobne, a do trzeciego — puch. Skrzydła obcina się w całości, wysusza nad blachą, żeby się pozostałe błony i mięso u nasady nie psuło, a potem przechowuje w dużej torbie papierowej, lub częściowo używa do zmiatania kurzu, smarowania patelni, form i t. p. Nagromadzone w garnkach pierze najlepiej przełożyć do przewiewnych worków i zawiesić na strychu, dopóki się wszystkich gęsi, przeznaczonych na rzeź, nie zabije.

Kto swój zapas pierzy ma na sprzedanie, oddaje je w takim stanie, w jakim się w tej chwili znajdują; jeżeli zaś służyć mają na własny użytek, należy je przed zaszcyciem w poszwie przeczyszczyć. W tym celu stawiamy na gorącej blasze miedziany kocioł (koniecznie miedziany, gdyż od żelaznego odprysnąć może emalia, a blaszany się rozluteje), a gdy się dobrze rozgrzeje, wkładamy do niego pierze (aby bez wody!), przykrywamy szczelnie przylegającą pokrywą i pozostawiamy je tak przez jakieś dwie godziny. Ogień pod blachą musi być minimalny, lepiej jeszcze, żeby tam były już tylko niepalące się

plomieniem węgle. Po upływie tego czasu zaglądamy do kotła: powinien być cały wypełniony białem czystym zupełnie, puszystym pierzem; na dnie dopiero znajdować się będzie warstwa kurzu, różnych odpadków i część najbrudniejszych pierzy, które się już domowymi środkami odczyścić nie dadzą.

W ten sam sposób powinno się, co parę lat przynajmniej, przeczyszczać zawartość wszystkich używanych poduszek.

W tej chwili przypomina mi się jedna zabawna scena, której świadkiem byłam parę lat temu, gdy jedna z moich sąsiadek przesypywała pierze z jednej poszwy w drugą. Nie wiem, czy była to nieumiejętność, czy brak cierpliwości, który powodował zbyt szybkie ruchy nad rozciętą powłóczką, pełną lekkiego puchu, dość, że gdy weszłam do izby czeladnej, w której się to odbywało, całe tumany unosiły się w powietrzu, a sprawczyni tego zaburzenia stała w białej, jak gołąb, peruce, białej puchowej szacie, nawet brwi i rzęsy miała białe!

Może się niejednej współcześnie „Bluszczu“ przysłużyć, opisując, jak sama się do takiej roboty zabieram, rozsiewając zaledwie parę piórek, które przy końcu z łatwością dadzą się podnieść i we właściwym miejscu ulokować.

Nową poszwę zeszywam z trzech stron całkowicie, z czwartej zaś pozostawiam w rogu otwór około 20 cm.; teraz biorę poduszkę, z której mam pierze przesypać, strząsam całą jej zawartość w jeden róg, przeciwnie rozpruwam tak daleko, aby się nowo utworzony otwór równał temu, który pozostawiłam w nowej poszwie. Teraz biorę obydwie poszwy, przykładam je do siebie niezaszytymi miejscami i gęsto jedną do drugiej przyfastryguję, tak, aby się z nich utworzyła jedna całość. Gdy to osiągnięte, śmiało wygniatam, przez utworzony z zeszywania obydwóch poszew „korytarz“ pierze, znajdując się w starej powłóczce, do nowej i znów, jak to już poprzednio robiłam (lecz teraz w nowej poszwie), strząsam wszystko do przeciwnego rogu. Wypruwam ostrożnie fastrygę, wybieram pozostałe pojedyncze piórka ze starej poszwy i nową zaszywam.

Tak, zdaje mi się, prosty i łatwy sposób, a tak mało rozpowszechniony!

A. D



Skarga

204

Powiadają, żeś piękniejsza, czemu więc, dlaczego Janka wciąż ma powodzenie, ja nie mam żadnego? Czekał, powiem Ci na uszko, bo Twoja rywalka Wykorzystać umie urok perfum ŻAKA „HALKA“...

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SANDACZ PIECZONY PO WŁOSKU

Dwukilowego sandacza oprawić, jak zwykle, ponacinać do kości w odstępach takich, jakie chcemy mieć porcje, nie przecinając jednak ości. Osolić po wierzchu i w nacięciach, polać obficie najlepszą, świeżą oliwą i pozostawić tak na dwie do trzech godzin. Przełożyć na brytfannę, polać oliwą, która z ryby spłynęła, i upiec w dobrze gorącym piecu, polewając tą oliwą, w ostatecznym razie paru łyżkami octu. Gdy się ładnie zrumieni i od ości odstanie, co jest znakiem, że gotów, przełożyć na półmisek, obłożyć wokół pomidorami, krajanymi w grube plastry, i ćwiartkami wzdłuż krajanej cytryny.

BRUKIEW ZAPIEKANA

Parę okrągłych, niewłóknistych brukwi ugotować, lub upiec pod blachą w całości, nie obierając ze skórki. Po upieczeniu skórkę zdjąć, pokrajać w cienkie plastry, dzieląc tak, jak pomarańczę. Półmisek metalowy wysmarować grubo masłem, układać brukiew tak, aby jeden kawałek zachodził na drugi. Skropić obficie masłem, posypać cukrem i wstawić do pieca dla zrumienienia. Podając, obłożyć parówkami, odgotowanym boczkiem wędzonym, lub w dnie postne — grzankami, zrumienionymi na maśle i posypanymi ostrym serem.

KACZKA Z MAKARONEM

Dużą, karmną kaczkę po oczyszczeniu z pierza i supłów, opalić, obmyć, dobrze osuszyć. Rozciąć przez grzbiet i wyjąć ostrożnie nożykiem kości, pozostawiając w całości skrzydła, uda i mięso z piersi przy skórze. Ugotować dwadzieścia deka drobno polamanego makaronu włoskiego lub domowego. Wymieszać z łyżką masła, dziesięcioma deka tłustej

szynki, drobno pokrajanej, całem jajkiem, odrobiną pieprzu białego, osolić do smaku. Nadziać tem w pierw osoloną kaczkę, zaszyć grubymi nićmi. Posmarować masłem lub szmalcem i upiec w dobrze gorącym piecu, podlewając tłuszczem, który się wytopi, a wkońcu rosółem lub wodą. Upieczoną kaczkę pokrajać na plastry, na pozostały na brytfannie smak wsypać łyżkę mąki, zagotować, przecedzić przez sito. Do sosu wrzucić łyżkę kaparów, lub drobno krajanych korniszonów, wlać kilka kropel karmelu, zagotować, podać w sosjerce. Wyluzowane kości z grzbietu i piersi użyć z podrobami na zupę perłową lub czerninę.

SOK ŻÓRAWINOWY DO HERBATY

Utrzeć w makutrze dowolną ilość żórawin, przełożyć do worka; niech tak ścieka do wazy lub innego głębokiego naczynia. Po dwudziestu czterech godzinach owoce jeszcze mocno wycisnąć. Otrzymany w taki sposób sok zważyć. Wziąć takąż samą ilość (na wagę) cukru-pudru, lub drobno tłuczonej rafinady (cukru z głowy), zmieszać z sokiem, trzymać w wazie, co kilka godzin dokładnie mieszać łyżką, aż się cukier zupełnie rozpuści. Zlać do czystych i suchych butelek do pełna, tak, aby po zakorkowaniu rozparzonemi korkami, sok dochodził do samego korka. Korki zalać parafiną. Butelki powinny leżeć, a nie stać, w spiżarni. Żórawin należy używać tylko dobrze przemarzniętych, gdyż inaczej mają przykrą gorycz.

Pani Elżbieta.

DO CZYTELNICZEK

„Bluszcz“, pragnąc ułatwić swoim czytelniczkom zapoznanie się ze skomplikowaną dla niejednego budową Państwa i zakresem działania urzędów państwowych, a zarazem chcąc przyczynić się do spopularyzowania organizacji władz ojczystych, **uzyskał dla wszystkich swoich Czytelniczek 20%-ową zniżkę przy nabyciu „Wykresu organizacji władz państwowych Rzeczypospolitej Polskiej“**,

opracowanego przez radcę min. w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, p. J. Suskiego, a zaleconego do użytku przez Ministra Spraw Wewnętrznych, Ministra Oświaty i szereg innych Ministrów.

Czytelniczki, które pragną z tej zniżki skorzystać i nabyć wykres, zechcą wpłacić zł. 5 gr. 60 na konto czekowe w P. K. O. Nr. 16500, podając adres, pod którym wykres ma być przesłany.

Stara piosnka

202

*Stachowi pierścień przymiozłam z jarmarku.
Oraz prześlicznych róż mianek,
Tobie — „HEZANE“ ŻAKA w podarku,
Bo Jaśku Tyś mój kochanek.*

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr. rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 54 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Czy jesteśmy zadowolone w praktyce (w odpowiedzi p. Bronisławowi P.)

Ma słuszość pan Bronisław P., twierdząc, że walkę o równouprawnienie wygrałyśmy; wygrałyśmy ją na całej linii w teorii, lecz częściowo tylko w praktyce; nie trzeba wyważać drzwi otwartych, to pewne, musi się jednak nauczyć ludzi przez nie przechodzić; inaczej, otwarcie będzie bezcelowe.

Większość kobiet pracuje, dopomagając rodzinie. Wszystkie, prócz paru szczęśliwych wyjątków, niezadowolone. Wyjątki są różowe, młodzieńkie, śmiejące się do skrawka nieba nad dachami, do biura, do szefa i... wierzące, że lada chwila to biuro opuszczą, by mieć swój własny dom i ozdabiać go ślicznymi robótkami z „Bluszczu”.

Niezadowolone... któż jest naprawdę zadowolony? komuż w zupełności udało się życie? Chodzi o to, czy są niezadowolone czynnie, czy biernie. Czy niezadowolenie jest motorem czynu, wiarą, że powinno, że musi być lepiej, czy zniechęceniem, apatią, bezwładnem opuszczeniem rąk. Otóż, zbierając w swoim czasie odpowiedzi na ankietę „Bluszczu” od różnych osób i instytucyj, przekonałam się dowodnie o tem **faktycznem** równouprawnieniu i o tem, że owo niezadowolenie właśnie najczęściej bywa opuszczeniem rąk; „mają wielkie uznanie dla mej pracy” mówi urzędniczka sądowa, „lecz stale pomijają mnie w awansie. Przestaję wierzyć w siebie, uczciwie i sumiennie „odrabiam” tylko, przekonana, że do niczego nie dojdę”.

„Pani się pyta”, rozplomienia się jedna z pracowniczek igły, „czy nie doznaję utrudnień z racji mej płci? czy pani nie zna świata, ludzi? Krawiec w naszym magazynie pracuje mniej, niż przepisową ilość godzin, odchodzi pierwszy, rano przychodzi ostatni, jest do niczego po przepitej nocy, a nas przetrzymują bez dopłaty. Moja koleżanka szyje, jeśli nie lepiej, to tak samo, lecz wynagrodzenie pobiera znacznie niższe. Nietylko u nas — wszędzie krzywdzą kobiety. Nie jestem żadną sufrażystką, lubię mężczyzn, ale co prawda, to prawda”.

Najmniej skarżą się nauczycielki i kobiety, pracujące w wolnych zawodach. Trudno, ciężko, bezwzględna walka o byt, niewystarczający przeważnie zarobek, lecz sama praca, jako taka, daje wiele radości.

Z ciężkiem sercem opuszczałam pewną instytucję, której wymienić nie chcę; przywitano mnie tam grzecznie, dopiero, dowiedziawszy się, poco przyszłam, obrzucono, bez przesady, dojmująco podejrzliwymi spojrzzeniami, twarze spochmurniały; spo-

glądano po sobie, pokiwano głowami, w oczach odmalował się strach. „Niech pani idzie”, pośpiesznie mówiła jedna z pracownic, „my nic nie powiemy, może kto podsłuchuje, my zresztą pani nie znamy, do widzenia”. Bez komentarzy. Czy tak samo czuli się w tem biurze mężczyźni? Wątpię.

To skromniejsze pracowniczki, a asystentki Uniwersytetów? kobiety wybitnych, niezwyklej zdolności, rzetelnej pracy, mające poza sobą cenną i cenioną twórczość? Stoją w cieniu, docentury biorą mężczyźni.

Nazwiska? i owszem, mogę powiedzieć Redakcji „Bluszczu”.

Dlaczego tak jest? czyja wina? mężczyzn, kobiet? Zdaje mi się, że ani jednych, ani drugich. Przyczyna tkwi w epoce przejściowej, w której sądzono nam żyć. Kobieta przyszłości wyjdzie, powtórzę za Kaden-Bandrowskim, ze świata pracy. Jaka będzie? Można stawiać różne horoskopy. Wierzmy, że w każdym razie będzie szczęśliwsza, że, przeglądając może kiedyś roczniki „Bluszczu”, zdziwi się szczerze, iż sprawę tak prostą, jak zgodne na wszystkich terenach współżycie dwojga płci, traktowano zawile i ciężko.

Mimo to, nie przestając prowadzić ludzi przez otwarte, a jeszcze bardzo trudne do przebycia drzwi równouprawnienia, starajmy się chować dzieci w zdrowiu fizycznym, moralnem i w rozumnem zrozumieniu tegoż równouprawnienia.

M. C. z Lublina.

Równouprawnienie w pracy zacząć trzeba od dzieciństwa.

Szkoda, że „Bluszczy” nazywa się „Bluszczy”. Wymyśliłabym dla niego nazwę bardziej licującą z treścią tego pisma. Srodze zawiódłby się ten, kto, złudzony takim bluszczowatym tytułem, szukałby w nim równie bluszczowatej, sentymentalnej duszyczki kobiecej.

Wyjrzałaby z jego stron silna, zdecydowana, śmiało życiu w oczy patrząca i nic a nic wspólnego z bluszczem nie mająca kobieta. Złakłby się, nieprzygotowany, i zakrzyknął: „Bluszczy”?! — to raczej jakiś „Taran”! Taran, godzący w stare pojęcia, torujący drogę pojęciom nowym, już nietylko głosami niewielu wybranych (myślę o literatkach i publicystkach), ale głosami całej rzeszy czytelniczek, otwarciem „Mównicy” do głosu dopuszczonych. Głosy różne, bo też sprawy poruszane wymagają wszechstronnego oświecenia.

Największe zainteresowanie wywołał problem

pracującej kobiety („pracować, czy nie pracować?”), oraz wzajemne ustosunkowanie się obu płci wobec tego zagadnienia. Dołączam i ja swój głos do ogólnego chóru, gdyż widzę, że dyskusja na ten temat nie podaje pewnych środków, jak temu zaradzić.

Pracować, czy nie pracować? Pocóż zastanawiać się nad tem, czego zmienić nie można? Jedne pracować chcą, inne muszą. Chodzi tylko o to, jak tę pracę kobiecie ułatwić.

Wszyscy, zabierający głos w tej sprawie, zgadzają się, że praca kobiety w domu i poza domem jest ponad jej siły. Prawie wszyscy są zdania, że część obowiązków domowych powinien wziąć na swe barki pan domu. Sprawa w teorii przesądzona, wszyscy zgadzają się z nami, niema o co walczyć słownie. Wypada w praktykę wprowadzić podział obowiązków i tu napotyka się trudności, które dotychczas niweczą wszelkie usiłowania w tym kierunku. Pocięcha, że panowie **umieją** już guziki przyszywać i skarpetki cerować, na nic się nie zda, wobec faktu, że tego **robić nie chcą**. Nauczyliśmy się patrzeć na niektóre zajęcia, jako na czysto kobiece i dzisiaj żaden mężczyzna, pod grozą ośmieszenia w gronie znajomych, robić tego nie będzie. Z amatorsztwa może gotować, szyć, ale nie robi tego, jeśli chodzi o wyręczenie kobiety, nawet bardzo kochanej.

Wszystkie matki pracujące, Wy wiecie, co znaczy ten podwójny trud, dla uniknięcia przykrej atmosfery w domu. Wiecie, i dlatego córki i synów tak wychowacie, że córki nie znajdują się w położeniu kobiet dzisiejszych. Jedna jest droga ku temu: spopularyzować te zajęcia, którym dziś oddaje się wyłącznie kobieta (o ile mężczyzna nie traktuje któregoś z tych zajęć, jako fachu).

Dużo zależy od nas, matek, ale kto wie, czy w tym kierunku nie zrobiłaby więcej szkoła? W domu będą wysiłki pojedyncze, w szkole — masowe. Jeśli która z pań interesuje się szkołą, wie, że są w niej dwa rodzaje t. zw. „robót”. Jedne z nich, nazywane krótko „roboty”, obowiązują dziewczęta i chłopców, drugie — „roboty kobiece” — tylko dziewczęta. Chłopcy więc rosną już od 6-tego roku życia w tem przeświadczeniu, że niema takich „robót”, od których dziewczęta mogłyby być wolne, zato są takie, od których oni są na całe życie zwolnieni, bo obowiązek wykonywania ich spoczywa na dziewczętach.

Już tam gdzieś podobno wyrugowano ten anachronizm i wprowadzono „roboty kobiece” dla chłopców, ale u nas — cisza. Programy dla szkół układają panowie, trudno zatem spodziewać się podobnej innowacji. Nie posądzam nikogo o złą wolę, ale poprostu nie było inicjatora. Zresztą, opinia publiczna nieprzygotowana była do podobnych zmian. Pewna jestem, że nawet wiele z pomiędzy kobiet odniosłoby się nieprzychylnie do tego projektu.

Według mnie, jest to jedyna rada na wprowadzenie prawdziwego „równouprawnienia”. Nie wynika z tego, by każdy mężczyzna musiał cerować, guziki przyszywać, rzeczy układać, przecież i ko-

biety nie zawsze zmuszone są to robić; a jednak nas uczą tego i każda umie wiele z tych „drobiazgów”, nie przeszkadza to żadnej z kobiet być literatką, adwokatką, uczoną, jeśli tylko znajdzie dość zdolności i ochoty do nauki.

Wpłynęmy więc na zmianę programów szkolnych, a za parę lat zmieni się zupełnie zapatrywanie na „roboty kobiece”, co przyczyni się znacznie do złagodzenia losu kobiet, obarczonych dziś podwójną pracą, i usunie rozgoryczenie w rodzinach, powstające bardzo często na tle tego rodzaju drobiazgów.

M. B-ska — Wilamowice.

Nasza ankieta gospodarcza.

1. Wszystkie zakupy załatwiam sama.
2. Artykuły spożywcze staram się kupować stale w jednym polskim sklepie.
3. W lekarstwach, towary krajowe zadowolniają mnie w zupełności.
4. Brak dobrego pieczywa i wyrobów cukierniczych. Mały wybór ryb (przy bliskości morza!). Nabiał.
5. Sprawia to bliskość Gdańska i Gdyni, gdyż tam jest zbyt największy. Z kolei znów Gdańsk zasypuje nas obcemi wyrobami.
6. Zgłaszam swe uwagi i żądania.
7. Waga jest dokładna — o „estetycznym” zapakowaniu mowy niema, dostajemy zakupy nieowiazane sznurkiem. Do domów odsyłają chętnie (w koszu). Na żądanie kredyty udzielają (miesięczne).
8. Nie mam zaufania do ogłoszeń, dużo blagi.
9. Stale ogłaszać o wydawnictwie nowych książek z każdej dziedziny literatury.
10. Dla sprawienia garderoby i uszycia jej.
11. Podawać wykaz firm polskich, czego u nas brak. Kupiectwo tutejsze zbyt drogo oblicza towary, mając marne źródła zakupu (Gdańsk). Drobiazgi dzieciinne oraz lekarstwa są o połowę tańsze w innych miastach, np. w Częstochowie i Warszawie.

Seweryna Dzięciolowska — Wejherowo.

Wykwalifikowana ochraniarka, osoba 20 letnia, szuka pracy w ochronie, żłobku, lub w domu prywatnym, bardzo chętnie na prowincji. Ukończyła 7 klas gimnazjalnych i 2-letni kurs ochraniarski w Krakowie, może udzielać dzieciom nauki, zna też robótki ręczne. Mimo usilnych starań, nie może znaleźć posady i jest w krytycznym położeniu materialnem. Osoba o łagodnym charakterze, bezwzględnie uczciwa i moralna.

Laskawe zgłoszenia proszę skierować do Mównicy „Bluszczu”.

I. J.

Za pośrednictwem „Naszej Mównicy”, przez którą, jak to od roku obserwuję, wiele już osób doszło do wzajemnego porozumienia w różnych sprawach, zwracam się do Sz. Pań z moją: pragnę umieścić w przyzwoitym domu, w Warszawie panienkę, której jestem jedyną opiekunką. Jest to osoba uczciwa, dobra i miła w stosunkach z dziećmi, umiejająca zająć się domem. U mnie przebyła cztery lata, z zupełnem mojem zadowoleniem. Może tą drogą uda się znaleźć dla niej posadę.

J. L. z Mławy.